

SEDNO

Myślenice sierpień 2021 numer 8 (165) ISSN 1899 - 1831 www.esedno.pl

Firma Jana Burkata, przedsiębiorcy rodem z Dobczyc, obchodzi właśnie jubileusz 30-lecia. Przez 30 lat swojej działalności Jan Burkat stworzył prawdziwe „Janowe” imperium otwierając nowoczesne i spełniające najwyższe standardy markety na terenie Małopolski, w tym także w Dobczycach i w Myślenicach. A wszystko zaczęło się od małego sklepiku spożywczego w pobliżu domu Pana Jana.

SEDNO: 30 LAT TO SZMAT CZASU, A TYLE WŁAŚNIE LICZY ZAŁOŻONA PRZEZ PANA FIRMA. NA PRZESTRZENI 30 LAT POWOŁAŁ PAN DO ŻYCIA SZEŚĆ WSPANIAŁYCH MARKETÓW, W TYM TRZY NATERENIE POWIATU MYŚLENICKIEGO, JEDEN W SAMYCH MYŚLENICACH, DWA W DOBCZYCACH. JAKIE BYŁY POCZĄTKI PANA FIRMY?

JAN BURKAT: Początki były skromne, to mały sklepik spożywczy pod moim dobczyckim domem.

Dlaczego spożywczy?

Rynek był wówczas bardzo ubogi w sklepy oferujące artykuły spożywcze, pomyślałem, że właśnie w tej branży mogę zaistnieć.

Czy było to słuszne przypuszczenie?

Tak, otwarcie sklepiku okazało się przystawowym strzałem w dziesiątkę. Tym bardziej, że był to pierwszy taki sklep w Dobczycach zaś zapotrzebowanie na „spożywkę” okazało się bardzo duże.

Kolejnym krokiem w rozwoju firmy było...?

Wydzierżawienie pomieszczenia przy ulicy Podgórskiej, 450 metrów kwadratowych. Była to już

cd. na str. 2,3



foto: maciej holuj

Drodzy Czytelnicy

Czym jest zaufanie? Czy zaufanie to przekonanie, że jakiejś osobie lub instytucji można ufać? Czy zaufanie to przekonanie, że czyjeś słowa, informacje itp. są prawdziwe? Czy może zaufanie to przekonanie, że ktoś posiada jakieś umiejętności i potrafi je odpowiednio wykorzystać? Zaufanie jest pewnie wszystkim po trochu, a może wszystkim na raz? Ale sucha definicja zaufania to jedno, a zaufanie, z którym często mamy do czynienia w codziennym życiu, to drugie. Żałować należy, że definicja nie zawsze nadąża za życiem.

W układzie społeczno – ekonomicznym zaufanie jest poddawane szczególnej próbie. Doświadczają jej na własnej skórze wódcze gmin, kiedy przychodzi do corocznych głosowań nad uchwałami w sprawie wotum zaufania oraz absolutorium. Nie byłoby w procedurze głosowań nic szczególnego, wszak wójt czy burmistrz na zaufanie zasługuje lub nie. Piłka jest prosta: albo wódcze zbudował je swoją postawą, albo nie. Spacer po linie zaczyna się wówczas, kiedy do głosowania wkłada się polityka. A niestety wkłada się często.

Zaufanie ma dzisiaj, w dobie pandemii, szczególną wartość. Zawsze miało i wciąż ma, jako nieodzowny element codzienności, ale covid weryfikuje je na swój specyficzny sposób poddając społeczeństwo różnym próbom, ot, choćby próbie podziału. Na przykład na zaszczerpionych i niezaszczepionych, na przestrzegających epidemiologicznych zaleceń i na tych, którzy te zalecenia mają... w nosie. Komu ufać, a komu nie? Pytanie, na które odpowiedź nie zawsze bywa łatwa. Najbardziej ufamy podobno strażakom. Ale co dalej...?

Jak radni rad poszczególnych gmin ufają swoim wódczom prosimy czytać na stronie 4.

Ufajcie nam i do przeczytania we wrześniu

Maciej Hołuj

pewna skala sukcesu w skali powiatu, dobczykanie nie musieli wreszcie jeździć na zakupy do Myślenic. Zaraz potem ruszyła budowa marketu przy ulicy Mostowej?

Tak, firma szybko się rozrastała. Po markecie na Mostowej przyszła kolej na starą cegielnię w Myślenicach.

Cegielnia wymagała wielkiego nakładu pracy i środków, ale efekt końcowy jest imponujący?

Prace trwały osiem miesięcy, staraliśmy się zachować oryginalny charakter tej budowli i tego miejsca. Myślę, że nam się to udało. Proces robót można oglądać na wystawie zdjęć, które znajdują się na barierce ochronnej budynku stojącego obok marketu. Wystawa towarzyszyła jubileuszowi 30-lecia naszej firmy, ale zostanie w tym miejscu na stałe (patrz zdjęcia poniżej).

Czym było dla Pana powołanie do życia Centrum Handlowego „Stara cegielnia”?

Ta inwestycja postawiła mnie mocno na nogach i dała solidnego kopa pokazując, że droga rozwoju

Co przez te 30 lat działalności Pana firmy przyniosło Panu najwięcej satysfakcji?

Myślę, że satysfakcji było przez te 30 lat sporo. Na przykład właśnie powstanie „Starej cegielni”. Ale najwięcej radości mam z tego, że udało mi się poprzez swoją działalność spełnić oczekiwania klientów. Dotyczy to wszystkich naszych obiektów we wszystkich wcześniej wymienionych przez mnie miastach. Wielką satysfakcję czerpię także z faktu, że stworzyliśmy system pozyskiwania żywności od producentów lokalnych. Są tacy producenci i rolnicy, którzy w stu procentach produkują tylko dla nas. Na przykład pan Duda z Dobczyc, hodowca porów, pan Hankus z Kunic, producent ziemniaków. Na naszą dobrą kondycję i opinię pracują także producenci mięsa, wołowiny, cielęciny i wieprzowiny, którzy dostarczają najwyższej jakości produkty do naszej dobczyckiej masarni. Działalność tej masarni opiera się na starych, sprawdzonych recepturach dobczyckich. Podobnie sprawa wygląda z pomidorami i ogórkami. Warzywa zbierane w nocy wczesnym



foto: maciej hołuj

Najwięcej radości mam z tego, że udało mi się poprzez swoją działalność spełnić oczekiwania klientów. Dotyczy to wszystkich naszych obiektów we wszystkich miastach, w których te obiekty funkcjonują - JAN BURKAT

firmy, którą obratem jest słuszna tak pod względem finansowym jak i pod względem dynamiki. Dzięki „Starej cegielni” nabrałem pewności siebie do dalszych działań w obszarze biznesu.

Dowodem na to były kolejne inwestycje i markety, które powstały w Skawinie i Wadowicach? Zanim powstały oba te obiekty, otwarłem drugi market w Dobczycach.

Ostatnim dokonaniem firmy „Jan” jest obiekt w Kętach?

Tak, ale już myślimy o kolejnej inwestycji.

Gdzie tym razem?

W Oświęcimiu. Nabyliśmy już działkę. Posłużymy się nieco inną formą niż ta, według której powstały nasze sklepy do tej pory. Będzie to Park Handlowy, w skład którego wejdzie siedem różnych podmiotów, w tym nasz.

rankiem trafiają na półki naszych sklepów. Współpracujemy z małymi, lokalnymi mleczarniami w Limanowej, Bochni, Skale, Wieprzu, jabłka pochodzą od sadowników raciechowickich, a pierogi w różnej odmianie wykonywane są niejako na oczach klientów. To wszystko także da się potraktować w kategoriach naszego sukcesu.

Skoro są sukcesy, muszą być także porażki?

Spektakularnych porażek nie było, jeśli już to... potknięcia.

Jest Pan laureatem wielu wyróżnień i nagród, które przyznawane były i wciąż są za Pańską działalność biznesową. Które z tych wyróżnień jest dla Pana najważniejsze?

Myślę, że najbardziej cenny jest tytuł Amicus Hominum przyznany mi w 2015 roku. Cenię sobie także tytuł Człowieka Roku przyznany przez redakcję „Ga-



foto: archiwum „Stara cegielnia”



Myślenicki
Miesięcznik
Powiatowy

SEDNO rok założ. 2007

redaktor naczelny
zespół

maciej **hołuj**

antonina **sebesta**

marek **stoszek**

andrzej **boryczko**

agnieszka **zięba** (korekta)

jerzy **fedirko** (kultura)

marta **zając** (Dobczyce)

jerzy **krygier**

współpraca

współpraca

współpraca

adres redakcji 32-400 Myślenice, ul. 3 Maja 1a

druk

grafikon Jaroszewice 324

www.grafikon.pl

nakład 1500 egz.

oddano do druku 27 lipca 2021 roku

wydawca Vargen Sp. z o.o.

Mateusz Wilk

32-444 Głogoczków 35

JAN BURKAT:

Sukces to moi ludzie

rozmawiał: maciej hołuj

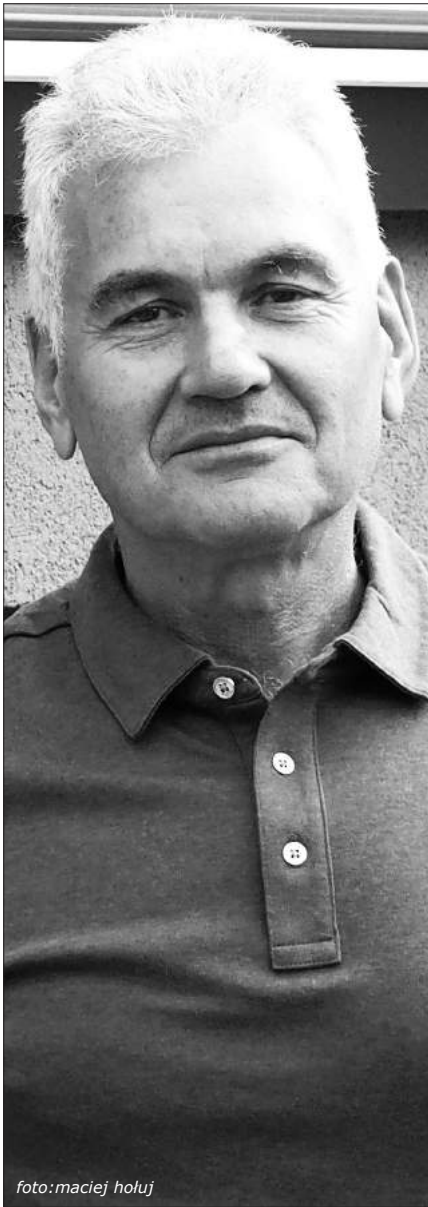


foto: maciej hołuj

zety Krakowskiej” i „Dziennika Polskiego”.

A Srebrny Krzyż Zasługi przyznany ostatnio podczas jubileuszu 30-lecia, a wręczony w Dobczycach przez wojewodę małopolskiego?

To odznaczenie przyniosło mi sporo satysfakcji i bardzo dziękuję prezydentowi za przyznanie go, ale chciałbym w tym miejscu jasno powiedzieć i podkreślić, że wszystkie moje nagrody i wyróżnienia to nie tylko moja zasługa.

A zatem czyja jeszcze?

Moich pracowników. Sukces to moi ludzie, bez nich nic by nie było z tego, co jest.

Ile osób zatrudnia Pan dzisiaj w swojej firmie?

Okolo 500.

Jaka jest według Pana recepta na sukcesu w biznesie?

Nie będę oryginalny, to nie żadna metafizyka, ale zwykłe: pracowitość, sumienność i życzliwość w stosunku do ludzi.

Czy to te cechy każą Panu codziennie być obecnym we wszystkich swoich obiektach, mimo iż w każdym z nich Pana interesów pilnuje zespół zaufanych ludzi?

Staram się swoją obecnością nieść pomoc i rozwiązywać problemy moich pracowników. Nikt tego za mnie nie zrobi. Dlatego codziennie objeżdżam wszystkie markety należące do mojej firmy.

Przez 30 lat działalności w biznesie przechodził Pan przez różne, bardziej lub mniej, przychylne dla niego okresy. Jakie są czasy dla biznesu dzisiaj, te ogólnopolskie i te lokalne, na poziomie samorządu?

Muszę powiedzieć, że czasy dla biznesu są dzisiaj trudne. Głównie przez dziurawe prawo. Oto jeden z przykładów. Dzisiaj połowa małych sklepów prowadzi działalność w niedziele, organizując u siebie punkty pocztowe i omijając w ten sposób prawo. Ustawa regulująca te zagadnienia jest dziurawa jak sito. Nie mam nic przeciwko zamykaniu handlu w niedziele, ale jeśli już, niechaj stosują się do tego przepisu wszyscy. Tu już nie chodzi o zyski, ale o zwykłą, zawodową przyzwoitość. Nie wiem dlaczego rząd nic z tym nie robi.

A jak układa się współpraca z władzą lokalną?

Znacznie lepiej, niż jeszcze kilka lat temu. Jestem mile zasko-

JAN BURKAT – urodził się w Lipniku, był pracownikiem „Budostalu 2”, wyjeżdżał na kontrakty m.in. do ZSRR, Iranu, Francji, RFN. W 1999 roku postanowił założyć własną firmę uruchamiając sieć sklepów. W 2001 roku ruszył największy wówczas supermarket w Myślenicach Centrum Handlowe „Stara cegielnia”. Jan Burkat jest laureatem wielu nagród i wyróżnień w dziedzinie biznesu, m.in. tytułu „Człowiek Roku”, medalu Amicus Hominum czy ostatnio Srebrnego Krzyża Zasługi. Właściciel sześciu supermarketów w: Dobczycach, Myślenicach, Skawinie, Wadowicach i Kętach. Współzałożyciel Izby Gospodarczych w Dobczycach i w Myślenicach. Ojciec Małgorzaty i Michała.

czony przychylnością gminy i burmistrza. To czego nie dało się zrobić przez kilka poprzednich lat, zostało zrobione.

Na przykład?

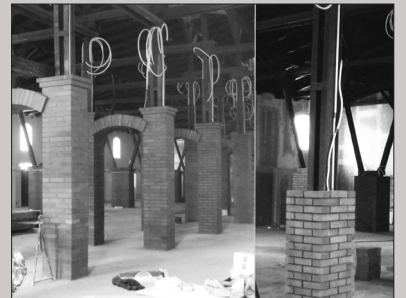
Na przykład łącznik pomiędzy ulicami Sienkiewicza i Sobieskiego. To dla naszej firmy bardzo potrzebny, drogowy by pass. Przez lata walczyłem o doprowadzenie wodociągu do „Starej cegielni”, bowiem ciśnienie wody w tym, którym dysponowaliśmy, było zbyt słabe. Teraz udało się ten problem rozwiązać. Widzę, że gmina ma gospodarza.

A powiat?

Stara się pomóc.

Jak widzi Pan przyszłość swojej firmy?

Jak już wspominałem sfinalizowaliśmy zakup działki w Oświęcimiu. Powstanie na niej Park Handlowy w nieco innej formie i stylu, niż dotychczasowe obiekty. Ale to melodia, może nie aż tak bardzo odległej, ale jednak, przyszłości.





JAROSŁAW SZLACHETKA - burmistrz Myślenic, wotum zaufania - 13 „za”, 1 „przeciw”, 6 „wstrzymujących się”, absolutorium - 15 „za”, 5 „wstrzymało się”



ARTUR GRABCZYK - burmistrz Sułkowic, wotum zaufania - 14 „za”, 1 „przeciw”, absolutorium - 15 „za”



TOMASZ SUŚ - burmistrz Dobczyc, wotum zaufania - 10 „za”, 2 „przeciw”, 1 „wstrzymujący się”, absolutorium - 11 „za”, 2 „wstrzymujące się”, 1 nieoddany



PIOTR HAJDUK - wójt Pcimia, wotum zaufania - 8 „za”, 1 „wstrzymujący się”, absolutorium - 8 „za”, 1 „wstrzymujący się”



MAREK KLUSKA - wójt Tokarni, wotum zaufania - 15 „za”, absolutorium 15 „za” (jednogłośnie)



BOGUMIŁ PAWLAK - wójt Wisniowej, wotum zaufania - 15 „za”, absolutorium 15 „za” (jednogłośnie)



WACŁAW ŻARSKI - wójt Raciechowic, wotum zaufania - 10 „za”, 5 „wstrzymujących się”, absolutorium - 15 „za”



TADEUSZ PITALA - wójt Sieprawia, wotum zaufania - 14 „za”, absolutorium 14 „za” (jednogłośnie)



KAZIMIERZ SZCZEPANIEC - wójt Lubnia, wotum zaufania - 15 „za”, absolutorium 15 „za” (jednogłośnie)

Kto jak komu ufa

foto: maciej holuj

RED.

CZYM JEST ZAUFANIE - WSZYSCY WIEMY. CZYM WOTUM ZAUFANIA - JUŻ NIEKONIECZNIE. TYMCZASEM PRAWIE WSZYTKO WIEDZĄ O NIM URZĘDNIICY SAMORZĄDOWI - WÓJTOWIE I BURMISTRZOWIE ORAZ RADNI RAD MIEJSKICH I GMINNYCH. CI PIERWSI DOŚWIADCZAJĄ GO NA WŁASNEJ SKÓRZE CI DRUDZY UDZIELAJĄ GO TYM PIERWSZYM.

Skomplikowane? Na pierwszy rzut oka nie bardzo, w rzeczywistości jednak proces udzielania wotum zaufania władzom miast i gmin obwarowane jest mnóstwem, nierzadko skomplikowanych, przepisów. Podobnie zresztą jak udzielanie absolutorium. **Procedura wotum w największym skrócie**

Wójt lub burmistrz odpowiednio wcześniej przedstawia radnym raport o stanie gminy za miniony rok. Wotum zaufania jest ustosunkowaniem się rady gminy do informacji przedstawionych w tym raporcie. Raport obejmuje podsumowanie działalności wójta lub burmistrza w roku poprzednim, w szczególności realizację polityk, programów i strategii, uchwał rady gminy i budżetu obywatelskiego. Po zapoznaniu się z raportem radni debatuje nad jego treścią, a następnie głosują nad udzieleniem (bądź nieudzieleniem) wotum zaufania władzom. Głosowanie jak głosownie, jedni „za”, inni

„przeciw”, jeszcze inni „wstrzymujący się”. Wotum zaufania musi zostać przegłosowane większością głosów. To naturalne.

Absolutorium w największym skrócie

Absolutorium jest ściśle związane z procedurą budżetową. Jest wyrazem akceptacji rady gminy dla sposobu wykonania budżetu w poprzednim roku przez wójta lub burmistrza. Wiąże się ono z odpo-

Co to jest wotum zaufania i absolutorium udzielane wójtom i burmistrzom i który z władz gmin powiatu myślenickiego cieszy się największym zaufaniem? Oto odpowiedzi na te pytania.

wiedzialnością, jaką władz ponosi z tytułu prowadzenia gospodarki finansowej gminy. Zakres informacji, jakie rada gminy powinna uwzględnić w związku z podjęciem uchwały absolutorijnej obejmuje: sprawozdanie z wykonania budżetu jednostki samorządu terytorialnego, sprawozdanie finansowe, opinię regionalnej izby obrachunkowej, informację o stanie mienia jednostki samorządu terytorialnego oraz stanowisko komisji rewizyjnej.

Podobnie jak w przypadku wotum zaufania absolutorium musi zostać przegłosowane przez radnych większością głosów.

Konsekwencje

W przypadku nieudzielenia wójtowi czy burmistrzowi wotum zaufania w dwóch kolejnych latach rada gminy może podjąć uchwałę o przeprowadzeniu referendum w sprawie jego odwołania. Rada gminy może podjąć uchwałę tej treści podczas sesji zwołanej nie wcześniej niż po upływie 14 dni od dnia podjęcia uchwały w sprawie nieudzielenia wójtowi, burmistrzowi wotum zaufania. Nie udzielenie wójtowi lub burmistrzowi absolutorium jest jednoznaczne z wnioskiem o referendum w sprawie odwołania go ze stanowiska.

We wszystkich dziewięciu gminach powiatu myślenickiego odbyły się, zgodnie z obowiązującym terminarzem, sesje, podczas których radni udzielali wotum zaufania i absolutorium swoim władzom. Ci ostatni mogą spać spokojnie. Żaden z nich nie został bowiem pozbawiony ani wotum zaufania, ani absolutorium, chociaż nie zawsze odbywało się to jednogłośnie. Niestety bywa i tak, że procedura udzielenia wotum i absolutorium staje się pożywką dla radnych, którzy traktują ją jako płaszczyznę do walki politycznej. No cóż, każda okazja do pognębienia politycznego rywala jest dobra.



foto maciej holuj



foto maciej holuj

na zdjęciu Jerzy Niedenthal

Zebrali dla Kubusia 11 469 złotych

NIE OD DZISIAJ WIADOMO, ŻE POŁĄCZENIE SIĘ ZAZWYCZAJ PRZYNOŚI OKREŚLONE ZYSKI. TYM RAZEM OWOCEM POŁĄCZENIA SIĘ BYŁA POMOC DLA KUBY BACHULI, TRZYLATKA, U KTÓREGO STWIERDZONO WYJĄTKOWO RZADKIEGO CHŁONIAKA. LECZENIE KUBY W NIEMIECKIEJ KLINICE, GDZIE PRZEBYWA OD LIPCA, NIE JEST TANIE. OPERACJA KOSZTOWAŁA 2,4 MILIONA ZŁOTYCH. TĘ KWOTĘ JUŻ UDAŁO SIĘ ZEBRAĆ, ALE RÓWNIEM KOSZTOWNY JEST POBYT W KLINICE ORAZ PROWADZONA TAM REHABILITACJA MALCA.

Siły połączyły tym razem Stowarzyszenie Hospicyjne „Bądźmy Razem” z Wiśniowej oraz krakowska Immortal Group zrzeszająca miłośników motoryzacji, głównie zaś driftu (technika jazdy samochodem w kontrolowanym poślizgu świadomie zainicjowanym przez kierowcę, jednocześnie nazwa dyscypliny sportu motorowego uchodzącej za najbardziej widowiskowy i jednocześnie najprężniej rozwijający się sport motorowy na świecie). Areną fuzji Stowarzyszenia Hospicyjnego „Bądźmy Razem” i Immortal Group były tereny zielone pod zaporą dobczycką. Tereny, które nie raz i nie dwa gościły miłośników motoryzacji, bo też asfaltowe alejki nadają się do tego celu jak żadne inne. Spora grupa kibiców mogła na żywo przekonać się jak atrakcyjną dyscypliną sportu jest drifting, jednocześnie mogła zasilić konto pomocowe odpowiednim datkiem lub udziałem w loterii fantowej. Na zgromadzone środki (**11 469,20 złotych**) złożyły się także opłaty za przejażdżki z drifterami.

Nie po raz pierwszy i zapewne nie ostatni Stowarzyszenie Hospicyjne z Wiśniowej pomaga choremu dziecku. Można powiedzieć, że członkowie stowarzyszenia wyspecjalizowali się w niesieniu takiej pomocy. Dla krakowskiej Immortal Group był to debiut. Bardzo udany. Bo niosący nadzieję i wiarę w drugiego człowieka.

(RED.)



foto maciej holuj



Środowisko na tak, urzędnicy na nie

jerzy krygier

MAŁOPOLSKA SZKOŁA GOŚCINNOŚCI IM. TYTUSA CHAŁUBIŃSKIEGO W MYŚLENICACH TO PRZODUJĄCY ZESPÓŁ SZKÓŁ W WOJEWÓDZTWIE, A DZIAŁAJĄCE W JEGO STRUKTURACH TECHNIKUM HOTELARSKO-GASTRONOMICZNE ZNANE JEST W CAŁYM KRAJU. WYSTARCZY RZUCIĆ OKIEM NA LISTĘ OSIĄGNIĘĆ PLACÓWKI W RÓŻNEGO RODZAJU RANKINGACH, KONKURSACH LUB ZAPYTAĆ RODZICÓW, SZCZEGÓLNIEM ZAŚ UCZNIÓW KTÓRZY Z DUMĄ MÓWIĄ „JESTEM UCZNIEM TYTUSA”.

Liceum Ogólnokształcące tego zespołu skutecznie rywalizuje ze znacznie starszym i bardziej renomowanym LO im. T. Kościuszki. Tegoroczna zdawalność matury w „Tytusie” to: LO-99%, technikum-98%. Szkoła świetnie współpracuje ze środowiskiem społecznym. Dowodem na to niech będzie udana współpraca z młodzieżą wyczynowo uprawiającą sport w klubach sportowych: Wisły Kraków i Respektu Myślenice oraz współpraca z Myślenickim Ośrodkiem Kultury i Sportu. W czasie kadencji dyrektora Jerzego Niedenthala szkoła wypracowała wspaniałą opinię stając się znaną marką edukacyjną. Szkoła jest przyjazna, bezpieczna, dobrze ucząca i wychowująca. Od września będzie nią kierował nowy menager oświatowy, ponieważ kadencja dyrektora Niedenthala dobiegła końca zaś w postępowaniu konkursowym obecny dyrektor przegrał z dyrektorem jednej z krakowskich szkół głosami 6:5. Przeciwno dyrektorowi Niedenthalowi głosowali członkowie komisji konkursowej z organu prowadzącego czyli z samorządu Województwa Małopolskiego i organu nadzoru pedagogicznego czyli Małopolskiego Kuratorium Oświaty. Reprezentanci środowiska szkolnego: Rada Rodziców i nauczyciele oraz ZNP zagłosowali za Niedenthalem. Mam nadzieję, że organizujący ten konkurs przedstawia publicznie swoje argumenty i wyjaśnia dlaczego zlekceważyli opinię społeczną. Tego typu konkursy powinny być transparentne bowiem w przeciwnym razie istnieje uzasadnione podejrzenie, że to zgodna z literą prawa fikcja, która ma zapewnić stołek „swojemu”.

Radny Sejmiku Małopolskiego pan Stanisław Bisztyga wręczył odchodzącemu dyrektorowi medal z patronką samorządu św. Kingą i biografią Prymasa Wyszyńskiego. Pożegnalne podarunki mają nie tylko religijną, wymowę. Uczniom, ich rodzicom i nauczycielom brakuje argumentów odpowiadających na pytanie dlaczego dyrektor Jerzy Niedenthal musiał odejść. Oczekujemy wszyscy, że samorząd województwa zaprezentuje środowisku sylwetkę następcy dyrektora Niedenthala, który bardzo wysoko podniósł poprzeczkę jakości placówki. Obu Panom życzę powodzenia zaś dyrektorowi Jerzemu Niedenthalowi kłaniam się nisko dziękując za 9 lat wyteżonej pracy.

listy do redakcji

Pprzed pandemią drobne elektrośmici np. baterie można było wrzucać do pojemników w miejscach publicznych. Akcja mocno kulata, ale na pojemnik w UMiG zawsze można było liczyć. Przetknięte leki teoretycznie można było odnosić do apteki i tak np. w widocznym miejscu wystawiony był zamykany, blaszany kosz w aptece Esculap na Żwirki i Wigury 14. Niestety kosz ten niemal sta-

le był przepiętny! Lockdown zaktócił, utrudnił czy wręcz uniemożliwił te praktyki. Dlatego mieszkańcy, zwłaszcza starsi, niepełnosprawni, niedysponujący własnymi środkami lokomocji, mieszkający w małych lokalach bardzo proszą o wprowadzenie zasady, która funkcjonuje już w wielu gminach. Podstawiania kontenera na parking w danej dzielnicy w określonym dniu np. raz na kwartał i rozpropagowania tej akcji wszelki-

mi możliwymi sposobami (media, strony internetowe, tablice ogłoszeń). Myślenice podzielone są przez RPGK na 6 obrotów. Czy nie można by w związku z tym wyznaczyć stałych punktów odbioru w budynkach gminy i podanie tego faktu do publicznej wiadomości z określeniem miejsca?

Wiele osób nie rozumie dlaczego jedna apteka umożliwia pozostawienie starych leków, a druga nie. Chcielibyśmy

też poznać datę i miejsce najbliższego pikniku ekologicznego. Z ulotki dostarczonej przez RPGK wiemy, że opady wielkogabarytowe oraz problematyczne (brak przykładów!) odbierane są bezpośrednio z terenu nieruchomości po wcześniejszym zgłoszeniu telefonicznym w terminie do dwóch miesięcy od zgłoszenia. Zgłoszenia przyjmowane są od początku marca do końca września.

Czytelnik

NIEPUBLICZNY ZAKŁAD OPIEKI ZDROWOTNEJ „CERTUS”

Myślenice ul. Drogowców 5
(budynek Centrum Medycznego Tele-Fonika)
Tel. (12) 272-56-70, 272-56-71, kom. 601-661-449
zaprasza do gabinetów:

alergologia: dr med. G.Osmenda
choroby wewnętrzne: lek.med. A.Cyganek, lek.med. A.Homenda, lek.med. M.Przała
chirurgia ogólna: dr med. W.Dutkiewicz, lek.med. J.Pucz, lek.med. R. Gdula, lek.med. K.Panuś
chirurgia naczyniowa: dr med J.Krzywoń, lek.med. M.Kózka
dermatologia: lek.med. M.Lijowska-Bochnia
diabetologia: dr med. W.Głodzik, lek.med. J.Nykiel
endokrynologia: dr med. T.Koblik, lek.med. K.Tyrawa, lek.med. J.Bierowiec
gastroenterologia: dr med. P.Szulewski
ginekologia: lek.med. M.Kołodziejczyk - Pietruszka, dr med. M.Nowak
kardiologia: doc.dr hab. J.Dropiński
kardiochirurgia (gab. konsultacyjny): dr med. J.Stoliński
laryngologia: prof.dr hab.med. J.Pilch, dr med. A.Scislawski, lek.med. K.Wróblewska, lek.med. Z.Nowak-Makiela
medycyna pracy: lek.med. T.Mrowca-Kliś, lek.med. A.Delikat, lek.med. M.Fordoński, lek.med. E.Krzyżanowska
nefrologia: lek.med. A.Wojton
neurologia: lek.med. A.Magnuska, lek.med. J.Sękowska, lek.med. K.Soboń
okulistyka: lek.med. W.Moczulski, lek.med. J.Głowacka
onkologia: dr med. W.Dutkiewicz
ortopedia: dr med. P.Słęczka, lek.med. M.Święch, lek.med. W.Ambroży, lek.med. K.Karkosz, lek.med. P.Dąbek
reumatologia: lek.med. A.Murzyn
urologia: lek.med. P.Jakubik, dr med. M.Rzepecki

usg –jamy brzusznej, tarczycy, piersi, moszny, narządu ruchu
usg naczyniowe: ocena naczyń żylnych i tętniczych
usg dziecięce jamy brzusznej, stawów biodrowych:
lek.med.K.Sobczyk, lek.med.B.Oleszkiewicz,
lek.med.A.Krzanowska

pracownie: analityczna, audiometrii, ekg, spirometrii, rtg (mammografia, urografia, cystografia)

Rehabilitacja: elektroterapia, fototerapia, kinezyterapia, hydroterapia, krioterapia, drenaż limfatyczny, masaż, terapia energotonowa, ESWT, Hi-Top

Zapraszamy do naszej pracowni rehabilitacji na indywidualne cykle rehabilitacji przedoperacyjnej

Zapraszamy do korzystania z bezpłatnych badań mammograficznych w ramach Programu Profilaktyki Raka Piersi prowadzonych przez NFZ przeznaczonych dla pacjentek w wieku 50-69 lat

Zapraszamy Państwa do korzystania z bezpłatnych turnusów rehabilitacyjnych, prowadzonych przez NZOZ „CERTUS” w ramach Programu Zdrowotnego „Profilaktyka i rehabilitacja osób z dysfunkcjami narządu ruchu utrudniającymi wykonywanie pracy zawodowej” nr. projektu RPMP.08.06.02-12-0178/18 współfinansowanego z Unii Europejskiej z Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Małopolskiego w ramach Europejskiego Funduszu Społecznego.

Kryteria kwalifikacji do Programu (warunki konieczne):

1. Pacjenci zamieszkujący na terenie powiatu myślenickiego (zameldowanie),
2. Pacjenci leczeni z powodu dysfunkcji narządu ruchu potwierdzonej określonymi rozpoznaniem chorób dysponujący dokumentacją medyczną pozwalającą zespołowi kwalifikującemu na potwierdzenie jednostki chorobowej zaliczonej do katalogu rozpoznań umożliwiających uczestnictwo w Programie. Dokumentacja może zawierać: wyniki badań obrazowych - Rtg, TK, MR, USG - i neurofizjologicznych - EMG - odpisy dokumentacji leczenia ambulatoryjnego - karty informacyjne leczenia szpitalnego - zaświadczenia lekarskie potwierdzające jednostkę chorobową dotyczącą układu ruchu,
3. Pacjenci w wieku aktywności zawodowej od 18 do 59 lat, aktualnie zatrudnieni lub chcący powrócić na rynek pracy
4. Pacjenci, którzy w okresie ostatniego miesiąca nie byli hospitalizowani, nie korzystali z rehabilitacji w Oddziale Stacjonarym, Oddziale Dziennym, ani Fizjoterapii Ambulatoryjnej.

Pacjenci proszeni są o kontakt z Biurem Projektu w siedzibie NZOZ „CERTUS”, Myślenice ul. Drogowców 5 w dni robocze w godz. 16.30 – 20.00 (za wyjątkiem czwartków) gabinet nr. 27 A lub kontakt telefoniczny pod numerem: 785-506-356. Dokumenty rekrutacyjne dostępne są na stronie internetowej www.cmcertus.pl, można je także otrzymać w Biurze Projektu.

Wakacje wakacjami, życie zaś życiem

MIMO, ŻE WAKACJE W PEŁNI, ŻYCIE CODZIENNE TRWA, NIOSĄC ZE SOBĄ KOLEJNE PROBLEMY I WYDARZENIA, KTÓRE NIE UMYKAJĄ UWADZE OBYWATELI.

W krajowych stosunkach politycznych rozpoczęła się kolejna kadencja prezesa PiS zaś w szeregach PO powrócił Donald Tusk i to od razu na stanowisko pełniącego obowiązki szefa partii. Myślę jednak, że bardziej interesująca od dużej polityki jest dla wielu ludzi, szczególnie mieszkańców powiatów południowych (w tym także naszego) liczba zaszczepionych przeciwko covid-19. Poziom zaufania do nauk medycznych w powiecie myślenickim nie jest imponujący. A szkoda. Szkoda też, że z myślenickich środowisk medycznych płyną sceptyczne poglądy. Już choćby ze względu na wspólne bezpieczeństwo powinniśmy przyjąć szczepionkę. Zmuszają nas do tego nie poglądy dotyczące problemu pandemii, ale solidarność społeczną.

W polityce lokalnej burmistrz Myślenic uzyskał absolutorium. Rada uchwaliła wotum zaufania dając zielone światło do dalszej pracy burmistrzowi i jego zastępcy. Serdecznie gratuluję obu panom.

Stulecie swojej działalności wspaniałym koncertem uczciła orkiestra dęta OSP Śródmieście, dzisiaj Orkiestra Reprezentacyjna Miasta i Gminy Myślenice. Jestem dumny z dorobku orkiestry i mając w pamięci wszystkich dotychczasowych jej muzyków, na ręce aktualnie występujących składam serdeczne gratulacje. Koncert był wspaniały. Repertuar trudny. Dyrygent Wojciech Kwiatek wywiązał się z zadania bardzo dobrze. Szkoda tylko, że zabrakło informacji o tym, iż był to koncert, do którego orkiestra zaprosiła zawodowych muzyków i studentów Akademii Muzycznej w Krakowie. Mnie osobiście fakt ten w niczym nie przeszkodził, bowiem wpłynął na jakość koncertu. Mam świadomość tego, jak trudno jest uzupełnić skład orkiestry niezawodowej muzykami lokalnymi reprezentującymi odpowiedni poziom. Może należałoby szukać chętnych do gry poza regionem Myślenic lub podjąć współpracę ze szkołą muzyczną? Takie działania wymagają jednak środków, choć moim zdaniem w takie działania warto inwestować.

Podczas jednej z ostatnich sesji Rady Powiatu radni przyjęli uchwałę w sprawie Strategii Rozwoju Powiatu Myślenickiego na lata 2021-2030. Po lekturze relacji z tej sesji w „Gazecie Myślenickiej” i wypowiedzi radnego powiatowego Jan Bylicy jestem mocno zaniepokojony pomysłem poprowadzenia bypassów zakopianki przez Zarabie. To zabójczy pomysł dla Zarabia. Sądzę, że nie wolno nam godzić się na takie pomysły. Należałoby, moim zdaniem, podjąć próbę zmniejszenia ruchu samochodów od ronda Braci Różankowskich, do górnego jazu bo to teren niezwykle ważny dla Myślenic.



foto:maciej holuj

krótko

Myślenicki Demokratyczny Klub Dyskusyjny imieniem dr Stefana Patyka na wniosek europosłanki Elżbiety Łukaciewiczkiej otrzymał przyznaną przez Radę Europy Europejską Nagrodę Obywatelską (European Citizen's Prize). Nagrodę przyznano za obronę niezależności sądów i sędziów w latach 2019 – 2021. Nagroda w postaci medalu honorowego przyznawana jest od 2008 roku przez Parlament Europejski i ma być wyróżnieniem za szczególne osiągnięcia w następujących dziedzinach: działalność na rzecz lepszego zrozumienia i integracji między obywatelami państw członkowskich Unii Europejskiej, działalność na rzecz ułatwiania współpracy ponadnarodowej w Unii Europejskiej, codzienną działalność odzwierciedlająca wartości zawarte w Karcie praw podstawowych Unii Europejskiej.

Lebioda, nostrzyk biały, wierzbówka i podagrycznik

foto: autorka



LATO I WAKACJE TO DOBRA OKAZJA NA BYCIE W KONTAKCIE Z NATURĄ, CZYMŚ CO W XXI WIEKU STAŁO SIĘ DLA WIELU DOBREM LUKSUSOWYM.

Nowo powstałe dobczyckie Stowarzyszenie Nasze Miasto Nasze Decyzje już po raz drugi zaprosiło mieszkańców na warsztaty zielarskie – spotkanie z roślinami jadalnymi, na terenie Charstka. Miejsce nieprzypadkowe, bowiem rozległy teren pod zaporą obfituje w różnego rodzaju rośliny znajdujące zastosowanie w ziołolecznictwie. Warsztaty prowadziła Elżbieta Marciniak – prezeska Stowarzyszenia, prywatnie pasjonatka tematyki zielarskiej, propagatorka zdrowego trybu życia. Kilkugodzinny spacer połączony był z mini wykładem na temat napotykanych roślin, ich zastosowaniem w kuchni, medycynie oraz pielęgnacji ciała i kosmetyce. Uczestnicy warsztatów byli zaskoczeni wielością rosnących tu gatunków roślin, wśród których mogli zobaczyć: lebiodę, nostrzyk biały, podagrycznik, kilka rodzajów wierzbówki, w tym odmianę, z której można zrobić lwan czaj, żywokost, barszcz zwyczajny, efektowne dziewanny i wiele innych. Można było dowiedzieć się również, które części roślin są jadalne (z możliwością degustacji na miejscu), jak powinno się je przyrządzać, na co zwrócić uwagę, by wykorzystać ich dobroczynne właściwości, a na co uważać, bo zioła nieumiejętnie stosowane mogą być niebezpieczne.

Podczas warsztatów okazało się, że w dobie internetu, dostępu do nieograniczonych zasobów informacji i wiedzy o świecie, znajomość tego, co znajduje się na wyciągnięcie ręki, nie jest rzeczą powszechną.

Ziołolecznictwo kiedyś stanowiące tak oczywistą część naszego życia, jak jedzenie czy picie, obecnie stanowi najczęściej wiedzę historyczną. Jak przyznaje Elżbieta Marciniak, pierwszą edukację w tym zakresie zawdzięcza swojej babci. Z czasem pogłębiała swoją wiedzę, a dzisiaj chętnie dzieli się nią z innymi. Przyznaje, że podróżując po Polsce i Europie poszukuje i testuje rośliny charakterystyczne dla danego terytorium. Warsztaty są unikatowym projektem, niezwykle ciekawym doświadczeniem, dostarczającym wiele satysfakcji uczestnikom, szczególnie jeżeli uda im się samodzielnie rozpoznać roślinę lub trafnie opisać jej właściwości.

Po takim edukacyjnym spacerze zupełnie inaczej patrzy się na najbliższe otoczenie, a w rosnących w okolicy roślinach, do tej pory uważanych za całkiem pospolite, często nawet niepożądane chwasty, można dostrzec ogromny zdrowotny potencjał.

Wymień piec

Podczas czerwcowej sesji Rady Miejskiej w Dobczycach podjęta została jednogłośnie uchwała w sprawie regulaminu udzielania dofinansowania do modernizacji systemów ogrzewania w domach i mieszkaniach na terenie gminy. Tym samym Dobczyce dołączają do grona samorządów działających w duchu proekologicznym, ograniczających powstawanie i emisję szkodliwych substancji zanieczyszczających powietrze, którym wszyscy oddychamy.

Zgodnie z treścią podjętej uchwały, dofinansowanie do wymiany pieca będą mogli uzyskać właściciele budynków, na których pozwolenie na budowę zostało wydane przed 1 lipca 2017 roku. Dotacja nie może przekroczyć 50% kosztów zakupu i montażu urządzenia i kwoty maks. 2. 500 zł. Łącznie na ten cel gmina przeznaczy w 2021 roku kwotę 100.000 zł, co oznacza możliwość dofinansowania wymiany 40 urządzeń takich jak: kotły gazowe, pompy ciepła, kotły na paliwa stałe (pellet, zgazowanie drewna).

Dotację można łączyć ze środkami uzyskiwanymi w ramach „Czystego Powietrza” oraz ulgi termomodernizacyjnej, o ile nie narusza to postanowień tych programów.

Wcześniej mieszkańcy Dobczyc, podobnie jak innych gmin w powiecie myślenickim, mogli skorzystać z dofinansowania na instalacje OZE – odnawialnych źródeł energii, w tym popularnych paneli fotowoltaicznych. Wsparcie finansowe przyznawane było ze środków europejskich pozyskanych w ramach projektu realizowanego przez Lokalną Grupę Działania Turystyczna Podkowa.

Powyższe inicjatywy pozytywnie wpływając na poprawę stanu środowiska naturalnego, wspierają jednocześnie finansowo mieszkańców uczestniczących w tym procesie. Warto nadmienić, że kolejne małopolskie gminy podejmują odważne decyzje w kierunku wprowadzenia całkowitego zakazu palenia węglem. Wśród gmin, które chcą wprowadzić uchwały antysmogowe od 1 stycznia 2030 roku są: Skawina, Niepołomice, Nowy Targ, Krzeszowice i Oświęcim.

reklama



foto: archiwum

MARTA DASZKIEWICZ:

Przyjadę do Myślenic dla miniaków i dla... smalcu rozmawiał: mh

SEDNO: JEST PANI PRAWDOPODOBNIENIE JEDYNĄ OSOBĄ, KTÓRA OBECNA BYŁA NA WSZYSTKICH DOTYCHCZASOWYCH DZIEWIĘCIU ZŁOTACH MINI ORGANIZOWANYCH PRZEZ WŁADKĘ HODURKĄ W MYŚLENICACH. CO SKŁONIŁO PANIĄ DO TEGO, ABY PRZYJECHAĆ DO MYŚLENIC PO RAZ PIERWSZY I CO SPOWODOWAŁO, ŻE PRZYJEŻDŻA PANI TUTAJ REGULARNIE OD DZIEWIĘCIU LAT?

MARTA DASZKIEWICZ: Pierwszy raz to był właściwie przypadek. Zobaczyłam informację o zlocie pod Krakowem i postanowiłam się na niego wybrać. Wiedziałam też, że wybiera się trochę znajomych osób. Od razu spodobała mi się rodzinna atmosfera, która ciekawie zderzyła się z „pompką”, z jaką zorganizowany był zlot. Liczba obecnych na rynku wtorek była trochę przytłaczająca, ale teraz jestem już do tego przyzwyczajona. Władek z rodziną są cudownie ciepłymi ludźmi, którzy odpowiadają za atmosferę tego zlotu. I to głównie dla nich chce się tu przyjeżdżać. Ale nie tylko, bo smalec pań z Koła Gospodyń Miejskich jest już chyba znany w całym kraju. Podobnie zresztą jak słodkości od Jana Dziadkowskiego.

Zapewne jest Pani bywalczynią wielu złotów Mini w naszym kraju, a może i poza jego granicami, jak na ich tle ocenia Pani organizację zlotu w Myślenicach? Czy wyróżnia się czymś szczególnym?

Tak jak wspominałam, ten zlot to przede wszystkim atmosfera. Poznałam tu wiele osób, z którymi widujemy się co rok. W ubiegłym roku, kiedy zaistniało zagrożenie, że zlot się nie odbędzie, grupa osób zrobiła wszystko, by jednak spotkać się w Myślenicach, chociaż w nieco innej formie. A i tak było świetnie. Może nie ma tu tylu osób, co na przykład na International Mini Meeting czy nawet na Rajdzie Turystycznym, ale mnie to w żaden sposób nie przeszkadza. Tak naprawdę właśnie to chyba cenię sobie najbardziej.

Co jest takiego w tych małych, historycznych samochodzikach, że tak wielu ludzi kocha je tak bardzo?

Są urocze, wyróżniają się na ulicy i trudno ich nie kochać! Od zawsze jestem fanką starych samochodów. Kiedy byłam dzieckiem, mój tato pracował jako kierowca w pogotowiu, a było to jeszcze za czasów fiatów 125p. Lubiłam przebywać na terenie kolumny, ale zakochałam się chyba dopiero w żuku, którym tato jeździł nieco później. Uwielbiałam nim jeździć, najchętniej na osłonie silnika! Miniak wyszedł przypadkiem – jak to często bywa, przez związek. On miał miniaaka, więc zaczęłam jeździć na zloty, poznałam ludzi, oglądać ich auta. I powoli się zakochiwałam. A potem związek przeminął, a miniaaki zostały.

Czy może Pani opisać swój egzemplarz Mini? Z którego roku pochodzi, jaki to model i w jakim jest stanie?

Mój pojazd to rover mini z 1990 roku w kolorze british racing green z dachem w kolorze silver buller (czyli zielono-srebrny). Kupiłam go od znajomego w całkiem dobrym stanie. Zainwestowałam w malowanie felg, nowy grill w odbłaskowym żółtym kolorze i ogromne halogeny. Tymi ostatnimi nie nacieszyłam się zbyt długo, bo na jednym ze złotów kierowca BMW Mini wjechał w moje auto przy parkowaniu. Śmieję się, że te wielkie halogeny, z których kilka osób się nawet śmiało, uchroniły mojego Jaszczurę (bo tak na niego mówię) przez większymi uszkodzeniami. Obecnie auto stoi w garażu pod kotłerką (znaczy się pod pokrowcem) i czeka na trochę poprawek. Wstyd się przyznać, ale stoi tak już kilka lat, a ja ciągle mam ważniejsze wydatki. Na zlot jeżdżę więc już tylko do Myślenic, gdzie co roku odpowiadam na pytania „kiedy wreszcie przyjedziesz swoim miniakiem?”. Ale obiecuje tutaj publicznie, że to się znów stanie!

Wiem, że Władek Hodurek rokrocznie stara się przygotować dla zlotowiczów coraz to nowe atrakcje, który z dziewięciu dotychczasowych złotów utkwił Pani najbardziej w pamięci i dlaczego?

Atrakcji zawsze jest mnóstwo, ale chyba najbardziej zapadły mi w pamięć dwie z nich.

Jedną z nich było zwiedzanie wnętrza zapor w Dobczycach. Nigdy nie miałam okazji być w takim miejscu i byłam pod ogromnym jego wrażeniem. Sama świadomość tego, że jestem wewnątrz zapor była jednocześnie fascynująca, ale też trochę przerażająca. Drugą atrakcją zapamiętam na lata, to odwiedziny miniakami w Domu Pomocy Społecznej w Białce Tatrzańskiej. Podopieczni mieli okazję odbyć przejażdżki na siedzeniu pasażera i ich radość była z tego powodu bezcenna.

A jak wspominać będzie Pani tegoroczny, jubileuszowy zlot?

Jak zawsze bardzo miło. Byłam mile zaskoczona statuetką, którą otrzymałam w podziękowaniu za coroczną obecność na zlocie. Podobało mi się też to, że całą sobotę spędziliśmy spokojnie w jednym miejscu. Były atrakcje dla każdego w okolicy hotelu, ale też czas na spacer i relaks. No i bardzo fajnie, że pojawiło się aż tyle miniaków!

Domyślam się, że będziemy mogli Panią spotkać w Myślenicach na zlocie jeszcze niejednemu raz?

Oczywiście! Przyjadę tu dla miniaków i dla... smalcu!



SEDNO
patronuje

Ja, Mini

(MH)

foto: maciej holuj

Po raz dziesiąty, jubileuszowy, Władek Hodurek i jego rodzina oraz grupa jego przyjaciół zorganizowali Myślenicki Złot Mini. Bazą zlotu był tym razem hotel na Jałowcowej Górze, zaś zlotowicze pojawili się także na płycie myślenickiego rynku, gdzie zaprezentowali swoje pojazdy (było ich grubo ponad pięćdziesiąt). Atrakcją pokazu był wybór najładniejszego autka. Tak się złożyło w tym roku, że zwycięzca tej kategorii okazał się także najstarszym egzemplarzem mini, jaki przybył na myślenicki zlot. Oto zwycięzca.

URODZIŁEM SIĘ W COWLEY W OXFORDZIE W 1963 ROKU. ZATEM, JAK NA SAMOCHÓD JESTEM BARDZO WIEKOWY. NAZYWAM SIĘ AUSTIN MINI COOPER MK1 I NIE DALEJ JAK TRZY TYGODNIE TEMU WZIĄŁEM UDZIAŁ W X JUBILEUSZOWYM MYŚLENICKIM ZŁOCIE MINI. BĘDĘ TEN ZŁOT DŁUGO I MILE WSPOMINAŁ, BOWIEM PODCZAS JEGO TRWANIA SPECJALNIE POWOŁANA DO TEGO CELU KOMISJA WYBRAŁA MNIE JAKO NAJŁADNIEJSZE I NAJSTARSZE AUTKO ZŁOTU. OTRZYMAŁEM ZA TO PIĘKNE STATUETKI.

Moja historia jest dość ciekawa. Posłuchajcie: jestem egzemplarzem eksportowym, który został przez BMC wysłany do Szwecji, później do Czech. W Czechach przebywałem od roku 1980. Jestem bardzo rzadkim modelem, bo posiadam silnik o pojemności 997 centymetrów sześciennych, co oznacza, że jestem pierwszym modelem, za którego tuningowanie wziął się sam John Cooper. Ode mnie zaczęło się małżeństwo Mini i Coopera. Potem już zawsze mówiło się Mini Cooper.

Cztery lata temu nabył mnie Adrian Mruzek, mieszkaniec miejscowości Nędza i od tego czasu to on właśnie jest moim właścicielem. Do rąk Adriana trafiłem w kompletnym rozkładzie i musiałem zostać poddany totalnej odbudowie, aby wyglądać tak, jak wyglądam dzisiaj, czyli tak, aby wygrywać konkursy piękności. Lakier na mojej karoserii jest dokładnie taki sam, jaki położono w fabryce, zostałem pomalowany w oryginalnym kolorze zgodnie z certyfikatem autentyczności. Jak już wspominałem, mój silnik to 997 centymetrów sześciennych pojemności, co pozwala mi na osiągnięcie mocy 55 mechanicznych koni. Dzisiaj to niedużo, odrobinę więcej, niż posiada pierwsza z brzegu kosiarka, ale wystarcza to do tego, abym żwawo poruszał się po polskich drogach. Bolidem Formuły 1 też nie jestem, aby rozpędzić się od zera do 100 kilometrów na godzinę potrzebuję bowiem aż 18 sekund. Ale jak się już rozpędzę, to pomykam 140 kilometrów na godzinę, chociaż pewnie mógłbym jechać nieco szybciej. Jak tak pędzę, słysząc jak gwiżdżą moje radialne opony, dokładnie takie same, jak te, które kiedyś zamontowano w fabryce.

Co jeszcze mogę Wam o sobie opowiedzieć? W swoim 58-letnim życiu pokonałem dystans 40 tysięcy kilometrów. Tyle widnieje na liczniku, ale powiem Wam w sekrecie, że nie jest to przebieg oryginalny. Pokonałem dystans znacznie większy. Korzystam z czterostopniowej skrzyni biegów (plus wsteczny), hamuję hamulcami tarczowymi (przód) i bębnowymi (tył) zabieram na pokład 25 litrów paliwa (benzyny), dzięki czemu mogę pokonać jednorazowo dystans 280 kilometrów, mogę też zabrać ze sobą 160 litrów bagażu. Nie wiem dokładnie ile spalam na sto kilometrów, ale podobno nie za dużo. Do tej pory wziąłem udział w trzech zlotach, w Myślenicach byłem po raz pierwszy, mój właściciel używa mnie tylko w weekendy, więc się nie przemęczam. Może dlatego jestem taki piękny i wygrywam konkursy?



Husqvarna®

RATY 0%

ROBOTY KOSZĄCE AUTOMOWER®

20x0%
RRSO 0%

Oferta kredytu ważna do 31.12.2021 r. lub do wyczerpania zapasów.

GRATIS

MASZYNA AKUMULATOROWA



Promocja trwa do 31.12.2021 r. lub do odwołania.

**Autoryzowany Diler i Serwis
Mleczek, Myślenice
ul. Sobieskiego 40 G
tel. 12/2740004**



Co jakiś czas kataklizm powodzi nawiedza powiat myślenicki czyniąc spustoszenie i wyrządzając wielkie szkody. Tym razem najbardziej ucierpiały Głogoczów i Krzyszkowice, dwie miejscowości położone na terenie gminy Myślenice. W Głogoczowie przypomniła o sobie spokojna zazwyczaj „Głogoczówka”

Szaleństwo „Głogoczówki”

foto:archiwum

Czyste powietrze w Myślenicach

Dofinansowanie przy wymianie pieca do 9,000 zł*

**Sprzedaż-montaż-serwis 24h wraz
z doradztwem i sporządzeniem
wniosków o dofinansowanie**

Zadzwoń do nas lub
odwiedź nasz salon firmowy

+48 606 710 420

+48 660 539 090

KalBud

uł. Kazimierza Wielkiego 195a
32-400 Myślenice

*szczegóły w ofercie



BIBLIJNY POTOP, W KTÓRYM GŁÓWNE ROLE ODEGRALI NOE I JEGO ARKA TRWAŁ 40 DNI I TYŁEŻ NOCY, TEN W GŁOGOCZOWIE ZALEDWIE KILKA GODZIN. MIESZKAŃCY LEŻĄCEJ MNIEJ WIĘCEJ W POŁOWIE DRÓGI POMIĘDZY MYŚLENICAMI, A KRAKOWEM WSI DOŚWIADCZYLI NA WŁASNEJ SKÓRZE KONSEKWENCJI OGROMU LEJĄCEJ SIĘ Z NIEBA NA ZIEMIĘ WODY.

Wystarczyło kilka godzin, aby leniwa zazwyczaj i niegroźna rzeczka o nazwie „Głogoczówka” przestoczyła się w groźny, nieokiełzany i niosący zagrożenie akwen sprowadzając na Głogoczów tzw. powódź błyskawiczną. Na nic zdały się trzymetrowe wały przeciwpowodziowe, „Głogoczówka” przelała przez nie swoje wody gnając je z furią poprzez okoliczne łąki wprost na pobliskie domy. Natarcie okazało się piorunujące. – *Najpierw grzmiało, błyskało się i wiało. Byłam spokojna, bo nie padał deszcz, chociaż przez moment obawiałam się, że wichura zerwie dach w naszym domu* – mówiła właścicielka obejścia stojącego tuż przy drodze wiodącej przez centrum wsi. – *Potem lunęło, ale tak, że masy lejącej się z nieba wody przesłoniły widok. Słyszałam jak interweniujący po drugiej stronie drogi strażacy krzyczeli, aby uciekać. Powiało grozą.* W domach stojących w obniżonym nieco terenie woda sięgnęła pierwszego piętra. Gdyby nie ewakuacja, ludzie pewnie by się potopili. W domach stojących nieco wyżej „Głogoczówka” wdarła się tylko do piwnic. Tylko, czy aż? – *Mam w piwnicy*

pralkę, zamrażarkę, trochę innego, drobnego sprzętu. Wszystko zalane, wszystko na szmelc – mówiła ta sama właścicielka domu.

Przebiegająca kilkadziesiąt metrów od rzeczki zakopianka także doświadczyła niszczycielskiej siły natury. Po raz pierwszy w historii kilkusetmetrowy fragment „siódemki” znalazł się pod wodą. Podobno zmierzono odległość od podstawy asfaltu do lustra przykrywającej go wody - wyszło... 80 centy-



foto:archiwum

metrów. – *Kiedyś, podczas jednej z poprzednich powodzi, lustro wody zrównało się z asfaltem, ale nigdy zakopianka nie zniknęła pod wodą* – usłyszeliśmy od jednego z mieszkańców Głogoczowa. – *To najlepiej świadczy o rozmiarach kataklizmu.*

Zakopianka okazała się tylko jednym z wielu uszkodzonych elementów lokalnej infrastruktury. Chodnik, który nie tak dawno z inicjatywy i z funduszy gminy Myślenice powstał przy prowadzą-

cym przez Głogoczów, wyremontowanym starożytnie mocno ucierpiał. Podmyty przez wody znarowionej „Głogoczówki” zapadł się w kilku miejscach. Będzie wymagał kosztownego remontu.

Kiedy na drugi dzień po katastrofie odwiedziliśmy doświadczoną przez potop wieś, trwały w niej porządki. Na przestrzeni kilkuset metrów ustawiono kontenery na śmieci, do których ludzie znosili pokiereszowany przez wodę sprzęt. Między innymi z budynku szkoły, gdzie woda zdewastowała szatnię i kotłownię.

W porządkach uczestniczyli niezawodni jak zwykle strażacy z miejscowej jednostki OSP. Zapytaliśmy jej prezesa o przyczyny katastrofy. – *Powody, dla których kataklizm tak nas zdemolował są moim zdaniem dwa* – powiedział prezes Jan Kantor, były, wieloletni sołtys Głogoczowa. – *Po pierwsze brak uregulowania koryta „Głogoczówki”. Kiedy byłem jeszcze sołtysem kilka razy podnosiłem ten problem, ale nigdy nie udało się go rozwiązać.* A powód numer dwa? – zapytaliśmy. Prezes wymownie uniół palec wskazując na niebo. – *Bozia* – powiedział z uśmiechem.

Wodny kataklizm nie oszczędził także innych rejonów powiatu myślenickiego. Woda zaszalała w Krzyszkowicach, gdzie zdewastowała doszczętnie oczyszczalnię ścieków, most i drogi, a także w Raciechowicach, Tokarni, Pcimiu i Sułkowicach. Najbardziej jednak doświadczony został Głogoczów. Szkoda tylko, że tym razem rozgłos wieś ta zawdzięcza tak dramatycznym wydarzeniom. (RED.)

reklama

www.flowprojekty.eu

DORADZTWO BIZNESOWE

Dotacje Biznesplan
Rozliczenia UE Projekty B+R

tel: 507 119 029

Cukiernia

JAN DZIALAKOWIEC
Ul. Niepodległości 6
32-400 Myślenice
TEL: 665 740 800

GRUPY: 7-10, 11-15 LAT
ORAZ SENIORKI

TRENUJ Z NAMI!

RESPEKT Myślenice

Magda - 665 740 800 Przemek - 603 996 756

Grafikon

Drukarnia i Wydawnictwo

Jaroszowice 324 | 34-100 Wadowice

tel. +48 33 873 46 20 fax +48 33 873 46 22

e-mail: biuro@grafikon.com.pl www.grafikon.com.pl

KALENDARZE | TECZKI | CZASOPISMA
KSIAZKI | KATALOGI | ULOTKI
WZORNIKI | SEGREGATORY

SEAT

Nowy **SEAT Arona**

kompaktowy SUV
w nowej odświeżonej

Sprawdź

SEAT Dynamica, Jawornik 525

www.dynamica.pl

SEDNO: NIE DALEJ JAK W POPRZEDNIM NUMERZE PISALIŚMY O DZIESIĘCIOLETNIEJ KASI, KTÓRA JEST PANI UCZENNICĄ I ROKUJE DUŻE NADZIEJE NA PRZYSZŁOŚĆ. JEST PANI MŁODĄ, ALE POSIADAJĄCĄ JUŻ SPORE DOŚWIADCZENIE SKRZYPACZKĄ. CZY POCZĄTKI PANI MUZYCZNEJ KARIERY WYGLĄDAŁY PODOBNIEM JAK KASI? ILE MIAŁA PANI LAT ZACZYNAJĄC NAUKĘ GRY NA SKRZYPCACH?

KLAUDIA DZIEŻA: *Naukę gry na skrzypcach rozpoczęłam w wieku 7 lat w Szkole Muzycznej I st. im. L. Różyckiego w Myślenicach. Czy początki mojej muzycznej kariery wyglądały podobnie jak Kasi? – zdecydowanie nie. W mojej rodzinie nikt wcześniej nie przejawiał talentów muzycznych, nikt nie był i nie jest muzykiem. To całkowicie przypadkiem, że zaczęłam grać na skrzypkach, bowiem egzamin do szkoły zdałam na gitarę. Ponoć miałam świetny słuch, udało mi się wygrać Konkursy Piosenki Przedszkolnej, Festiwale Piosenki w krakowskich teatrach. Marzeniem mojej mamy było to, abym została gitarzystką więc zapisała mnie na przesłuchanie. Pamiętam egzamin wstępny, komisję, chyba nawet dobrze mi poszło. Wtedy ówczesny dyrektor nasz wspomniał, że nie ma*

Młoda, a już doświadczona muzycznie, występująca w orkiestrach o uznanej renomie, wspomniała, zaangażowany pedagog. Klaudia Dzieża od 7 roku życia gra na skrzypkach i nie zamierza z tej przyjemności rezygnować.



foto: maciej hołuj

KLAUDIA DZIEŻA: Skrzypce były mi pisane

rozmawiał: mh

w szkole takich małych gitar i niestety muszą zapisać mnie na... skrzypce. I tak już zostało. Dziś po 20 latach, sama będąc nauczycielem doskonale wiem, że Pan Dyrektor wiedział co robi i że nie był to przypadek, a te skrzypce były mi pisane.

Udziela się Pani na wielu muzycznych płaszczyznach, jest Pani członkiem Polish Art. Philharmonic, uczy Pani gry na skrzypkach w szkole muzycznej, jest Pani też członkiem orkiestry Opery Krakowskiej. Która z tych ról niesie ze sobą najwięcej satysfakcji i radości, a która jest najtrudniejsza?

Jest to bardzo trudne pytanie – każda płaszczyzna mojego życia, w którą się angażuję, daje mi poczucie spełnienia i satysfakcji. Myślę, że bardzo ważne jest to, że już na początku studiów udało mi się znaleźć pracę i realizować się w zawodzie, co nie zawsze dla początkującego artysty muzyka jest w dzisiejszych czasach łatwe. Od pierwszego roku studiów zaczęłam pracę w Szkole Muzycznej I st. im. O. Kolberga w Częstawiu, a jeszcze wcześniej miałam przyjemność współpracować z Ogniskiem Muzycznym przy mojej macierzystej szkole, gdzie kilka lat później również miałam możliwość pracować przez chwilę z młodzieżą. Każdy sukces mojego ucznia, choćby ten najmniejszy jest dla mnie ogromną radością i daje satys-

fakcję. Nie mogłabym w tym miejscu nie wspomnieć o bardzo ważnej części mojej pracy w częstawskiej szkole, jaką jest organizacja Ogólnopolskiego Konkursu Skrzypiec i Altówki Antoniego Cofalika. W tym roku odbyła się II edycja konkursu - byliśmy pierwszym konkursem po okresie pandemii, który odbył się stacjonarnie i dziś mogę powiedzieć, że wydarzenie to uznaję za swój ogromny sukces. Lecz bez zastanowienia, z punktu widzenia siebie jako koncertującego muzyka największą satysfakcję niesie za sobą bycie członkiem orkiestry, którą miałam przyjemność budować wraz z przyjaciółmi od samego początku, a która w tym roku będzie obchodzić swoje 10-lecie - mowa oczywiście o POLISH ART PHILHARMONIC. Nikt z nas nie wiedział w 2010 roku, jak daleko Orkiestra rozwinie swoje skrzydła, jak bardzo zaistnieje w środowisku muzycznym nie tylko naszego kraju, ale i również poza jego granicami – zaczęliśmy od małych, kameralnych koncertów. Dziś mogę powiedzieć, że jestem członkiem orkiestry, której oddałam część swojego życia i dzięki niej spełniam się zawodowo i muzycznie koncertując z nią w największych salach koncertowych na świecie.

Niewątpliwie propozycję etatu w Operze Krakowskiej również uważam za swój mały sukces – nie każdy ma możliwość pracy blisko swojego miejsca zamiesz-

kania, wielu moich znajomych, aby znaleźć pracę musiało wyjechać. Mnie udało się wygrać konkurs na stanowisko muzyka i tak od 4 lat jestem członkiem Orkiestry Opery Krakowskiej. Praca w Operze to trudna praca, próby dwa razy dziennie, spektakle w weekendy. Jest to zupełnie inny rodzaj muzyki niż muzyka symfoniczna. Zdobycie doświadczenia pracy w takiej instytucji dla każdego muzyka orkiestrowego to ogromny atut i bardzo cenny wpis do CV. Rozumiem, że muzyk, jak inny każdy artysta dążąc nieustannie do doskonałości (w przypadku skrzypaczki do wirtuozerii) wciąż uczy się i ćwiczy. Jak często sięga Pani po skrzypce? Nad czym pracuje Pani najwięcej? Co w technice gry na skrzypkach jest najtrudniejsze?

Jak często sięgam po skrzypce? Codziennie. W teatrze mamy wolne poniedziałki, ale poświęcam je najczęściej na własne ćwiczenie i pracę z moimi uczniami w szkole. Od wtorku zaczynamy próby i tak przez cały tydzień. Przyznam szczerze, że czasem trudno mi znaleźć chwilę, aby popracować nad własnym warsztatem. Kiedy do tego wszystkiego dochodzą jeszcze próby z Polish Art Philharmonic bądź innymi orkiestrami, które zapraszają mnie do współpracy – ćwiczę... w nocy. Dzięki temu, że instrumentu nie wypuszczam z rąk, jestem w formie i łatwiej przycho-



dzi mi wiele rzeczy. Technikę trzeba szkolić na okrągło. W zasadzie im więcej grasz, tym więcej musisz się pilnować i dbać o jakość tej gry. Swoim uczniom zawsze powtarzam „Ćwicz gamy! – jak to będziesz umiał, z resztą sobie poradzisz”. I sama również staram się w swojej codziennej „higienie gry” ćwiczyć gamy i rozgrywać się na ćwiczeniach, które wymagają doskonalenia techniki.

Podobno niebagatelną rolę w karierze muzyka odgrywa jego instrument. W czym tkwi tajemnica dobrych skrzypiec? Jakiego instrumentu używa Klaudia Dzieża?

Tak, to bardzo ważne, aby grać na dobrym instrumencie, a przede wszystkim takim, który odzwierciedla „muzyczną duszę” muzyka. Kilka lat temu, szukając skrzypiec, miałam możliwość gry na wielu instrumentach – zakochałam się w jednym i tak pozostało. Obecnie gram na starym lutniczym instrumencie z XIX w., który przeszedł kilka korekt. Udało mi się potwierdzić autentyczność daty, która znajduje się na kartce w środku instrumentu i mam pewność, że powstał on w 1818 roku, jednak jego pochodzenia wciąż nie udało się ustalić. W czym tkwi tajemnica dobrych skrzypiec? W ich konstrukcji, budowie, materiałach z jakich zostały wykonane, lakierze – wszystko to wpływa na jakość brzmienia, a to

dla skrzypka jest najważniejsze.

Historia muzyki zna wiele nazwisk wybitnych wirtuozów skrzypiec, czy jest wśród nich takie, które uważa Pani za szczególne i które w jakimś stopniu wpływa na Pani grę? Słowem: czy ma Pani skrzypcowego idola?

Przyznam szczerze, że można byłoby wymienić tu



foto: maciej hołuj

taj wiele nazwisk i wielu wirtuozów skrzypiec, którzy zapisali się dość mocno w historii, a którzy byli bądź wciąż są dla nas skrzypków jakimś autorytetem czy inspiracją m.in.: Nicolo Paganini, Eugene Ysaye, Yehudi Menuhin, Jascha Heifetz, czy obecnie nasi polscy wirtuozowie. Ale myślę, że jest osoba, która szczególnie przyczyniła się do mojego osobistego rozwo-

ju i wpłynęła na poziom mojej gry, a jest to profesor Mieczysław Szlezer, pod okiem którego ukończyłam krakowską Akademię Muzyczną.

Jaką muzyczną przyszłość widzi Pani dzisiaj dla siebie?

Widzę ją w moim rodzinnym mieście. Mam nadzieję, że pandemia powoli odejdzie w zapomnienie i kul-

Lecz bez zastanowienia, z punktu widzenia siebie jako koncertującego muzyka największą satysfakcją niesie za sobą bycie członkiem orkiestry, którą miałam przyjemność budować wraz z przyjaciółmi od samego początku, a która w tym roku będzie obchodzić swoje 10-lecie - mowa oczywiście o Polish Art Philharmonic - KLAUDIA DZIEŻA

tura powróci do życia przynajmniej tak samo mocno jak przed marcem 2020 roku, a może i nawet ze zdwojoną siłą. Okres pandemii zatrzymał wiele planów, które chciałam realizować. Wierzę, że wszystkie one wrócą i nadal będziemy mogli spotykać się na scenach muzycznych nie tylko naszego miasta, ale też kraju i świata.



Inwestycje za prawie 13 milionów w Jaworniku

Burmistrz Miasta i Gminy Myślenice Jarosław Szlachetka podpisał umowę z wykonawcą projektu oraz robót budowlanych w ramach modernizacji drogi gminnej o długości 2,5 km w Jaworniku. Zakres prac będzie obejmował również budowę mostu na potoku „Głogoczówka” oraz przebudowę czterech skrzyżowań. - O tę inwestycję od wielu lat zabiegali radni i przedstawiciele sołectwa Jawornik, wsłuchując się w głosy mieszkańców. Przynajmniej apelowali o budowę chodników, gdyż jest to droga uczęszczana zarówno przez kierowców jak i pieszych, głównie dzieci w drodze do szkoły, czy też korzystające z przystanków przy zakopiance. Dziś możemy potwierdzić oficjalnie, że umowa została podpisana dzięki

środkom pozyskanym z Rządowego Funduszu Rozwoju Dróg w kwocie ponad 9 milionów złotych. Całość prac oraz opracowanie projektu będzie kosztować dokładnie 12 867 000 zł. To duża inwestycja, za którą dziękujemy panu premierowi oraz ministrowi Infrastruktury. Cieszę się, że razem z panem radnym Wacławem Szczotkowskim, Robertem Bylicą i Dariuszem Łabędzkiem możemy przekazać informację o podpisaniu umowy na realizację tej inwestycji mieszkańcom Jawornika – mówi Jarosław Szlachetka, burmistrz Miasta i Gminy Myślenice.

Przedmiotem umowy jest zaprojektowanie i wykonanie drogi gminnej nr K540285 Jawornik - Rudnik w miejscowości Jawornik wraz z niezbędną infrastrukturą o długości

2,507 km. Zamówienie obejmuje także budowę jednego obiektu mostowego na potoku „Głogoczówka”, budowę przepustów pod drogą gminną oraz przebudowę skrzyżowania z drogą wojewódzką 955, z drogą K540266, jak również dwa skrzyżowania z drogami gminnymi. Szerokość jezdni będzie wynosić 5,5 m. Wykonane zostaną też jednostronne chodniki i przejścia dla pieszych, co znacząco wpłynie na poprawę komunikacji i bezpieczeństwa w tej części Jawornika.

Zgodnie z umową okres realizacji zadania wyniesie 24 miesiące, w tym około 16 miesięcy potrwa etap projektowania, a kolejnych 8 miesięcy wykonanie robót budowlanych.

Sprzątanie zielonej Małopolski również w Myślenicach



Naśmieciliśmy? Posprzątajmy! Gmina Myślenice włączyła się do akcji Urzędu Marszałkowskiego Województwa Małopolskiego i wraz z Nadleśnictwem Myślenice zorganizowała akcję sprzątania terenów zielonych w obrębie kompleksu leśnego Chełm i Uklejna. Akcja sprzątania terenów zielonych Małopolski miała charakter edukacyjno-ekologiczny, głównym przesłaniem dla społeczności była dbałość o tereny zielone, a przede wszystkim nie wyrzucanie śmieci do lasu oraz zostawienie po sobie porządku. - Już dzisiaj zachęcamy również do udziału w akcji sprzątania terenów zielonych wzdłuż rzeki Raby oraz lasów na Zarabiu, która odbędzie się podczas festiwalu Extreme Jam 2021. Sam festiwal w tegorocznej edycji oprócz wydarzeń sportowych będzie miał także mocny akcent ekologiczny - mówi Mateusz Suder, zastępca burmistrza Miasta i Gminy Myślenice. Patronat nad wydarzeniem sprawował zastępca burmistrza Myślenic Mateusz Suder, który osobiście włączył się w akcję sprzątania terenów zielonych wzdłuż drogi na górę Chełm. W sprzątaniu wzięli udział również mieszkańcy oraz przedstawiciele Nadleśnictwa Myślenice. Akcją sprzątania zielonej Małopolski na terenie Myślenic wspierali także wicemarszałek Tomasz Urynowicz oraz nadleśniczy Tomasz Bartko.



Nocna nawałnica zalała Głogoczów i Krzyszkowice

W nocy z 17 na 18 lipca przez nasz rejon przeszła potężna ulewa, której skutki najbardziej odczuli mieszkańcy Głogoczowa i Krzyszkowic. Rwące potoki wyrządziły szkody także w Myślenicach. Niektórzy mieszkańcy zmuszeni byli do ewakuacji, strażacy wraz z wojskami obrony terytorialnej przez dwa dni pomagali w ratowaniu dobytku mieszkańców.

Na miejscu katastrofy pracował Gminny Sztab Zarządzania Kryzysowego, mieszkańcy błyskawicznie otrzymali pomoc od wojewody małopolskiego Łukasza Kmity, który osobiście stawił się w Głogoczowie i Krzyszkowicach. Swoje wsparcie okazali również premier Mateusz Morawiecki, a także marszałek Województwa Małopolskiego Witold Kozłowski, którzy również

przyjechali do Gminy Myślenice na wizję lokalną.

- Razem z wojewodą podsumowaliśmy podjęte działania od początku pogotowia powodziowego oraz ustaliliśmy kolejne działania związane z odbudową infrastruktury oraz pomocy dla poszkodowanych mieszkańców Miasta i Gminy Myślenice - mówi burmistrz Jarosław Szlachetka.

Powrót kolarstwa górskiego do Myślenic, emocje na Orlen MTB Race



O potencjale kompleksu górskiego Chełm i Uklejna fani kolarstwa górskiego mówią od dawna. To właśnie w tym celu gmina Myślenice podjęła działania w kierunku budowy nowych ścieżek w ramach projektu Myślenice Singletracks, a pierwsze imprezy rowerowe mamy już za sobą.

Myślenice Małopolska MTB XCO UCI C2 Race to wyścig, na który do Myślenic przyjechało kilkuset zawodników, a całonocne zawody w kilku kategoriach wiekowych przyniosły wiele emocji. Na starcie zameldowali się bowiem czołowi reprezentanci Polski, jak zwycięzca elity Bartłomiej Wawak, który niemal prosto z Myślenic leciał na Olimpiadę do Tokio, a także Czech Jarosław Kuhlavy, były mistrz świata, mistrz Europy oraz mistrz olimpijski. - Cieszę się, że zawody takiej rangi odbyły się w Myślenicach i spotkały się z pozytywnym odbiorem zarówno uczestników, trenerów jak i obserwatorów. Sam fakt, że do Myślenic przyjechał mistrz olimpijski Jaroslav Kuhlavy z Czech, czy nasza nadzieja olimpijska Bartłomiej Wawak utwierdza w przekonaniu, że warto było podjąć się organizacji tego wyścigu. Wszystkim zwycięzcom gratuluję i wierzę, że to nie koniec emocji dla kolarzy górskich w Myślenicach. Już w ostatni weekend lipca na Górze Chełm zameldują się downhillowcy w ramach tegorocznego festiwalu Extreme Jam - mówi Jarosław Szlachetka, burmistrz Myślenic.

Sympatycy kolarstwa górskiego mieli także okazję śledzić transmisję wideo ze startu wszystkich kategorii wiekowych z komentarzem byłej mistrzyni świata pochodzącej z gminy Myślenice - Anny Szafraniec-Rutkiewicz. Nagrody najlepszym kolarzom wręczał burmistrz Myślenic Jarosław Szlachetka, prezes Małopolskiego Związku Kolarskiego Marek Kosicki, przedstawiciel organizatora Andrzej Domin z klubu Domin Sport Team, a także wspomniana Anna Szafraniec-Rutkiewicz.



foto: maciej holuj

Robi w drewnie, ale kamień od dawna chodził mu po głowie

maciej holuj

KTO ZNA JURKA ĆWIERZYKA, RZEŹBIARZA Z MYŚLE-
NIC, TEN WIE, ŻE CHŁOP OD LAT ROBI W DREWNIENIE.
NAJCZĘŚCIEJ LIPOWYM. DREWNIANE, WYCHODZĄCE
SPOD RĘKI ĆWIERZYKA ŻYDKI ZNANE SĄ DALEKO POZA
GRANICAMI JEGO RODZINNEGO MIASTA. ALE OSTAT-
NIO COŚ SIĘ Z CHŁOPEM POROBIŁO, BO ZACZAŁ RZEŹ-
BIĆ W... KAMIENIU.

- Od dawna kamień chodził mi po głowie, ale jakoś nie było czasu na to, aby się nim zająć – mówi rzeźbiarz. – Ale kiedyś pojechałem do Stróży po piaskowiec na schody, a tam właściciel firmy kamieniarskiej mówi, że skoro jestem rzeźbiarzem, to dlaczego nie rzeźbię w kamieniu i że powinienem spróbować. Chłop tak długo mnie przekonywał, że aż mnie namówił. Dodatkowo dał w prezencie olbrzymią bryłę piaskowca na dobry początek.

Dla Jurka Ćwierzyka rzeźbienie w kamieniu było czynnością zupełnie nową. Sprezentowaną bryłę piaskowca przez kamieniarza ze Stróży postanowił zaoszczędzić, a pierwszych prób dokonać na kamieniach z... Raby. – Przydarłem na domowe podwórko kawał „rabczoka” i zacząłem się nad nim pastwić.

To była głowa... diabła. Ćwierzyk wykorzystał do jej obróbki wiertarkę firmy Bosch oraz... maizel. – Wiertarką obrobiłem kamień z grubsza, detale wykuwałem maizlem uderzając weń drewnianą pałką, której zazwyczaj używam przy rzeźbieniu w drewnie. Wykorzystałem także podpatrzone na jarmarku umiejętności gościa, który na moich oczach wykonywał kamienne osetki do ostrzenia kos. Dodatkowo pojechałem do kamieniarzy wykonujących nagrobki, aby dowiedzieć się od nich co nieco o obróbce kamienia.

Po narzędzia do rzeźbienia w kamieniu Ćwierzyk pojechał aż do Wieliczki. – Pod maizlem kamień pęka, konieczny był zakup odpowiednich narzędzi – mówi Ćwierzyk. – Kupiłem tarczkę do szlifierki kątowej, fajnie się nią wybiera, to jak wiertło na giętkim wężyku u dentysty, wszędzie mogą nią podjeść.

Kilka pierwszych prób w kamieniu to głowy. Stoją w różnych miejscach ogrodu otaczającego myślenicki dom rzeźbiarza. Większe, mniejsze. – Zawsze szukam kamienia, którego kształt nawiązuje do późniejszej rzeźby, staram się podkreślić ten kształt i wydobyć z niego to, czego oczekuję. Wybieram duże kamienie, ale też takie, które jestem w stanie... udźwignąć. Niektóre są tak duże, że do ich transportu trzeba by było użyć małego dźwigu. Takich nie biorę. Muszę także uważać przy wyborze kamienia, aby nie miał rys, bo takie kamienie pękają w tych miejscach podczas obróbki. Najlepsze są głazy wypłukane przez wodę, w innym kolorze, nie pękają podczas rzeźbienia. Nauczyłem się już rozpoznawać je z daleka.

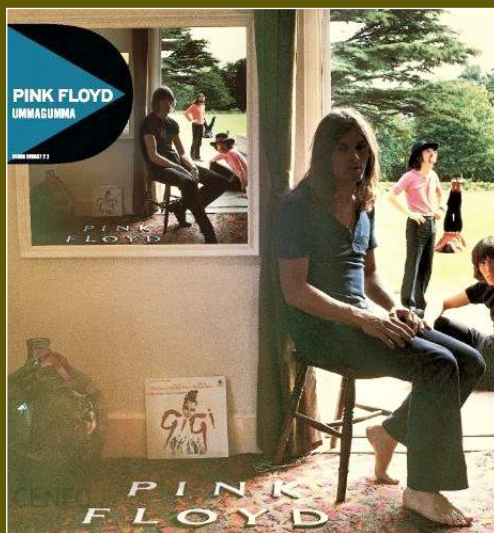
Przez dwa ostatnie lata Jerzy Ćwierzyk nie narzeźbił się wiele. Wiadomo z jakich powodów. Z tych samych co inni. Pandemia zmusiła rzeźbiarza do zawieszenia swojej „drewnianej” działalności, z której od lat żyje. – Nie mogłem rzeźbić w drewnie, zacząłem w kamieniu. Być może zabiorę kilka swoich kamiennych rzeźb na doroczne targi Cepeliady, które odbywają się na płycie krakowskiego rynku, może ktoś się nimi zainteresuje? – mówi rzeźbiarz.



foto: maciej holuj



PINK FLOYD „Ummagumma”



W KOLEJNYM ODCINKU CYKLU: „ROCKOWY KANON SEDNA” PISZEMY O ZESPOLE, KTÓRY SWOJĄ NAZWĘ ZACZERPNĄŁ OD IMION DWÓCH MAŁO ZNANYCH BLUESMANÓW CHOCIAŻ BLUESA W JEGO DOROBKU BYŁO CHYBA NAJMNIEJ. PANIE I PANOWIE, BĘDZIE O PINK FLOYD. KTO NIE ZNA TEJ NAZWY RĘKA W GÓRĘ. NIE WIDZĘ, NIE SŁYSZĘ. WIELBICIELI ZENKA PROSZĘ O OPUSZCZENIE RĄK, WAS NIE LICZĘ.

Fanów Pink Floyd można z grubsza rzecz biorąc podzielić na dwie podstawowe kategorie. Jedni uważają że prawdziwy Pink Floyd skończył się w momencie gdy odszedł (czy raczej został usunięty) z zespołu Syd Barret, tak jak Metallica skończyła się na „Kill'em All”. Drudzy natomiast doceniają wpływ, jaki wywarł na pierwszych albumach zespołu człowiek nazywany „Szalonym Diamentem” („Shine On You Crazy Diamond”) ale uznają, że to co najważniejsze dla Floydów zaczęło się w roku 1970 czyli od płyty „Atom Heart Mother”. Ale jest chyba jedna wspólna ziemia, na której te dwie grupy nie skoczą sobie do gardła. Ta ziemia nosi wielce tajemniczą nazwę „Ummagumma”. Jest oczywiście jeszcze grupa fanów Pink Floyd którzy uważają, że Pink Floyd to Roger Waters, ale głównym rzecznikiem tej grupy jest sam Waters. Dlaczego właśnie płyta „Ummagumma” jednoczy wszystkich? Chyba dlatego, że słysząc tu jeszcze wpływy Barreta (choćby w koncertowej wersji „Astronomy Domine”) ale słysząc również zręby czegoś, co można określić jako specyficzne i rozpoznawalne brzmienie Pink Floyd. To już nie jest tylko kwartet niedoszłych architektów, zafascynowanych The Beatles, Hendrixem i Soft Machine, wyrosłych w epoce swingującego Londynu. To jest ansambl, który zawładnie umysłami rockfanów od początku lat 70 aż po dziś dzień. „Ummagumma” to płyta (a w zasadzie dwie płyty) specyficzna pod wieloma względami. Czy to najlepsza płyta zespołu? Niekoniecznie. Raczej na pewno nie, ale na żadnej innej muzyki nie poszli tak daleko w eksperyment.

Co tam eksperyment, oni po prostu na tej płycie „jadą po bandzie”, jakby chcieli zniechęcić do siebie jak najwięcej słuchaczy. Utwory koncertowe trwające po 10 minut? Proszę bardzo! Kawalek, w którym ani jeden dźwięk nie wydobyla się z normalnego instrumentu? Robi się! Piosenka grana tylko na perkusji z partią fletu w środkowej części? Voila! Odgłosy przygotowywania śniadania i pogoni za muchą? Jaki problem? To, że taki numer, czy raczej seria numerów przeszła to z jednej strony efekt momentu dziejowego w jakim była w 1969 roku muzyka rockowa, gdy jej odbiorcy byli jeszcze na tyle młodzi, że żadne dziwactwo ich nie odstręczało ale wręcz na nie oczekiwali. Z drugiej natomiast był to błysk geniuszu samych Floydów bo w 99 przypadkach na 100 nagranie takiej płyty oznaczałoby zejście do muzycznego podziemia, albo wypisanie się na trwałe z rockowego mainstreamu. „Ummagumma” natomiast sprzedała się lepiej niż trzy poprzednie „normalne” płyty zespołu. Jest momentami manieryczna, oniryczna, melancholijna, transowa, psychodeliczna i przesadnie wydawałoby się dziwaczna. Powinna nużyć, a fascynuje, powinna odrzucać, a przyciąga, powinna irytować, jednak niesamowicie zaciekawia. Jakbyśmy słuchali Szeherezady, która mówi szeptem, czasem niewyraźnie, czasami gada zupełnie od rzeczy, ale mówi tak ciekawie, że nie sposób się oderwać. Skojarzenia z filmami Antonioniego nasuwają się same i aż dziw bierze, że współpraca do jakiej doszło wtedy między zespołem, a słynnym reżyserem przyniosła tak mizerne efekty (jeden utwór pod koniec „Zabriskie Point”).

Również niesamowita okładka płyty sprawia wrażenie jakby odwoływała się do „Powiększenia” lub książek Marqueza czy Cortazara. David Gilmour, Richard Wright, Roger Waters i Nick Mason to nie są jacyś wirtuozi swoich instrumentów. Na tle innych gigantów rocka progresywnego typu Yes, ELP, King Crimson czy nawet Genesis brzmią prawie jak punkowa kapela. Nie grają dużo dźwięków, ale grają te właściwe. Nikt lepiej jednak nie zagra „Set The Controls For The Heart Of The Sun” i nikomu nie przyjdzie do głowy również reinterpretować genialnego „Careful With That Axe Eugene” (po naszymu „ostrożnie z tą siekierką, Gienek”), w którym krzyk Rogera Watersa przyprawia o ciarki na plecach, nawet jeśli się tego słucha po raz milion pierwszy.

Na koniec kilka słów o tajemniczym tytule „Ummagumma”. Nick Mason mówił, że oznacza on to samo co nasze swojskie bara - bara, ale perkusista Pink Floyd uchodzi za „jajcarza” więc nie dowierzajmy mu tak do końca i uznajmy że tajemnica „Ummagummy” nadal jest nierozwiązana.

Cena analogowej „Ummagummy” na allegro wacha się pomiędzy 119,90, a... 415 złotych, Compact Disc jest znacznie tańszy, można go nabyć już za 53 złote.

latarnik postępu

zobaczenie - - tajemnica - - - jak zobaczyć to na co patrzymy - - jak zobaczyć to co widzimy - - - tajemniczy proces - tajemniczy rezultat

każdy laik powie mi – po co filozofujesz – to takie proste – ot, widzisz – zobaczyłeś i tyle

ten laik nie zastanowi się, że są inne widzenia – inne zobaczenia niż jego proste - - - że każdy człowiek patrzy widzi inaczej - - - i ta inność widzenia – i ta inność zobaczenia jest najbardziej fascynująca - - bo nie ma takich samych dwóch - - - przyjmujemy różne pozycje – mamy różne osie – i różne punkty widzenia - - - z różnych stron – w różnych porach dnia nocy - samopoczucia - - - nie uświadamiamy sobie że wpływ mają nasze emocje w danym momencie – nasze uczucia – stan kręgosłupa i pozycja głowy - sprawność palców trzymających aparat fotograficzny i naciskających migawkę - - że mózg może chcieć a może woli chwilę wytchnienia i odpoczynku - - - i laik nie dopuszcza do tego że najczęściej nakłada filtry - - na przykład starych minionych obrazów już kiedyś widzianych – lub kolorów i kształtów akceptowanych - - wiemy, wiemy już od „Rejsu” Piwowskiego – że „najbardziej lubimy znane piosenki”

fotografia jest pisaniem światła – jest pisaniem światłem - - bez światła nie ma jej - - po widzeniu światła patrzymy od razu na dukt pisma - - czy jest i jakie jest – czy znane – czy niepowtarzalne - - - kolejna wielka tajemnica

jedna fotografia – jedno widzenie – jedno zobaczenie - - - Pawła Stożka - - od razu dociera do nas – pawłowe - indywidualne – niepowtarzalne i – tak tak – tajemnicze - - - spotykamy w tym zobaczeniu wszystkie sensory - - - bo przedmiotem i podmiotem tej fotografii jest natura - - natura fotografii - - i natura autora - - tak jak natura artystycznego zamiaru i tworzenia - - - wielka natura świata - - naszego

zbliżenie - - bliskość tworzy nasz świat - - bliżej – jeszcze bliżej - - zbliżyć się do bliskości - - być – tuż tuż

m a k r o f o t o g r a f i a - - technika bliskości - - technika zbliżenia - - - mistrzowskie opanowanie Pawła - - - spokój nieśpieszność cierpliwość żmudne czekanie - - - tego wymaga zbliżenie - - - tego wymaga zobaczenie - - - da niepowtarzalny efekt - - że tak wygląda nasz świat – że tak możemy zobaczyć gdy będziemy cierpliwi - - - tajemnica tajemnic szczegółów - - - w relacji z naturą ze światem musimy się zbliżyć - - - zbliżyć do zobaczenia - - - już widzimy

Paweł Stożek przekazuje: możesz zobaczyć – bądź cierpliwy – zbliż się – patrz - - - z setek pawłowych makrofotografii wybrałem tę jedną - - ona jest naturą – światem – ona jest widzeniem zobaczeniem przeżyciem – fascynującym – mistrzowskim - - - jest niepowtarzalnym własnym pisaniem światłem - - - jest Pawła i naszym światem - - - w pionie pion natury – świata - - - pion Pawła Stożka

POLECAM:

jurek fedirko



zobaczenie

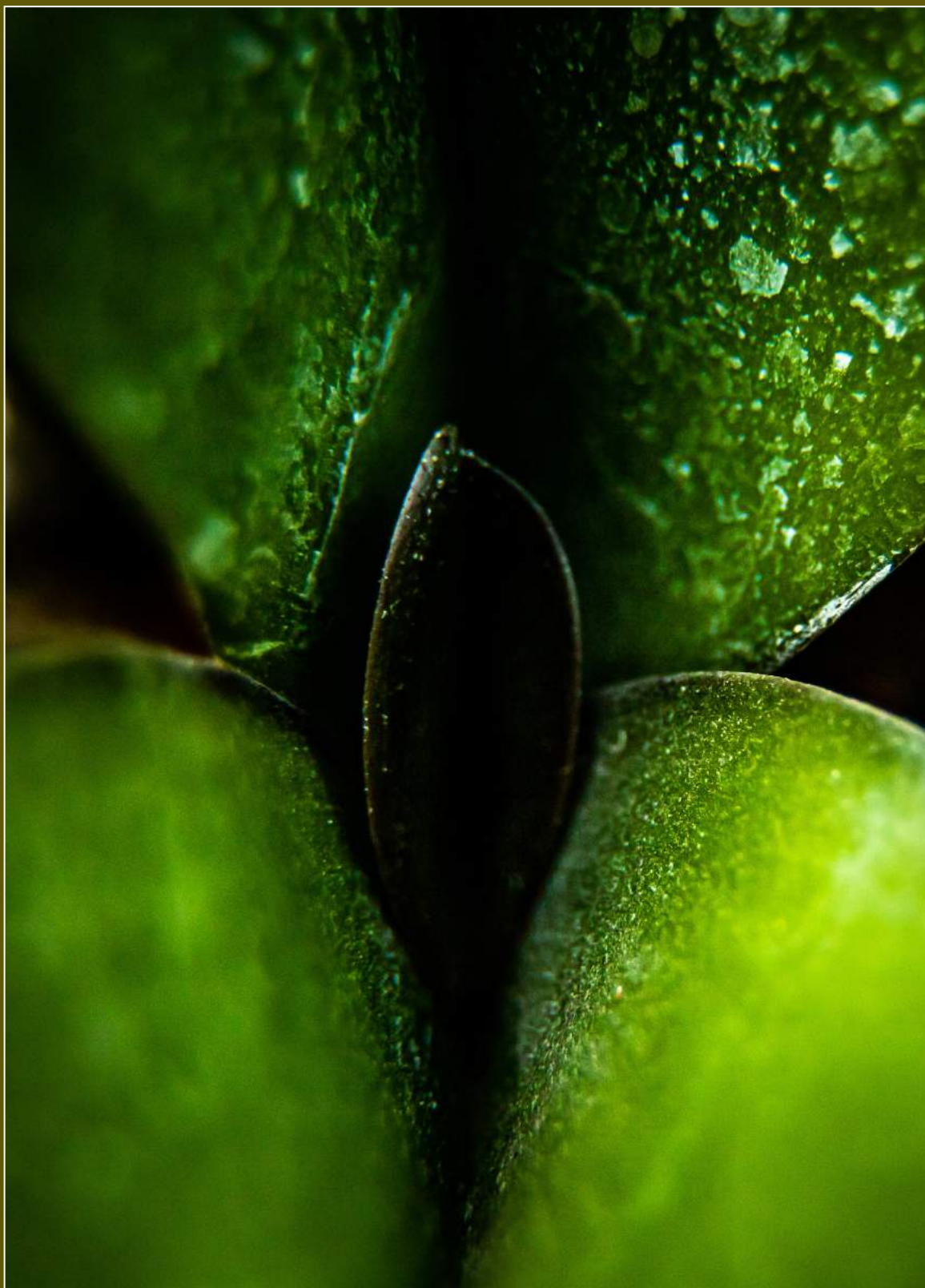
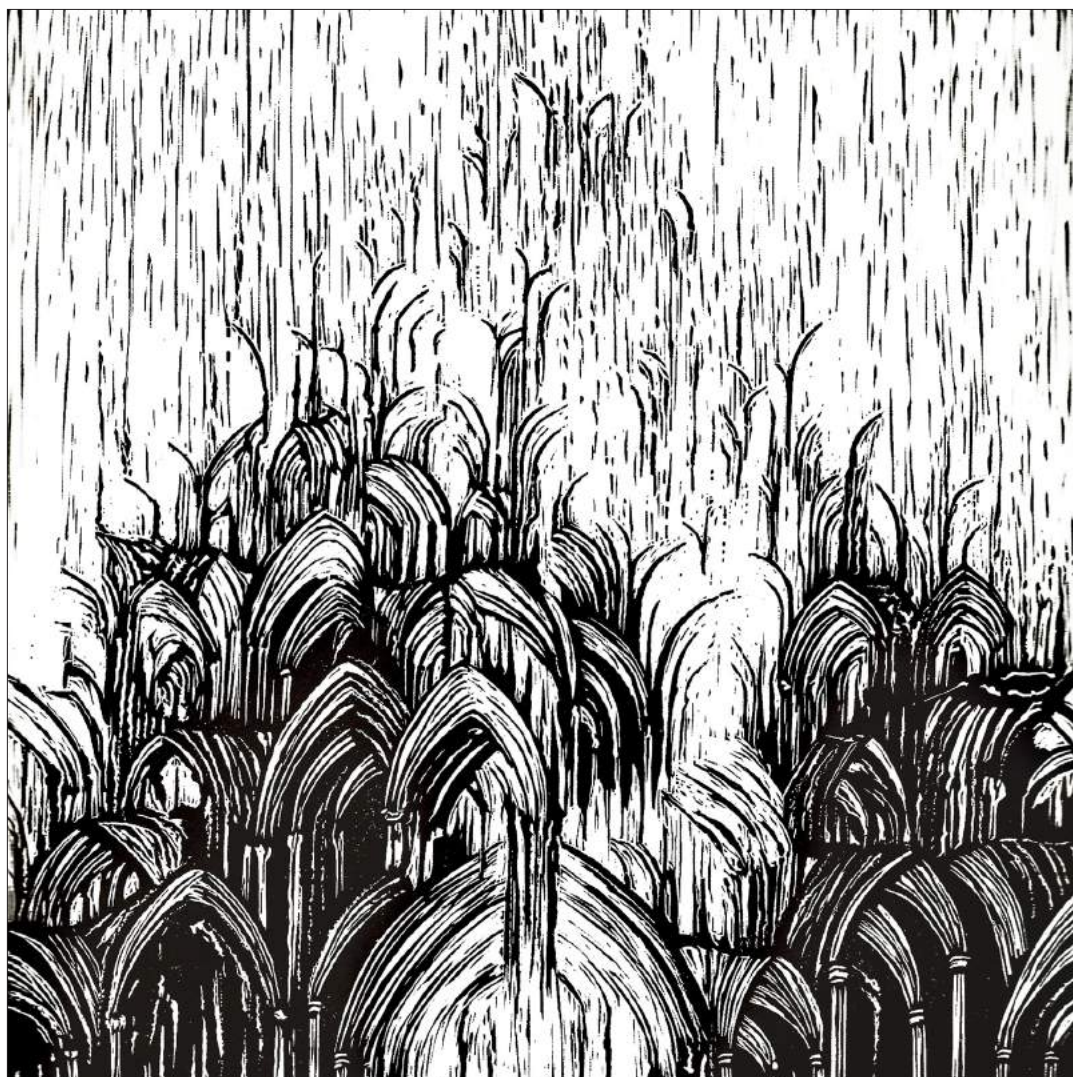


foto:paweł stożek

Linoryt jaki jest każdy widzi (1)



WNOWEJ DLA „SEDNA” RUBRYCE, KTÓRĄ INAUGURUJEMY W TYM MIESIĄCU, CHCIELIBYŚMY ZAPREZENTOWAĆ PAŃSTWU MOŻLIWOŚCI, JAKIE DAJE TECHNIKA LINORYTU. CO MIESIĄC BĘDIEMY PREZENTOWAĆ KOLEJNĄ GRAFIKĘ AUTORSTWA KRYSZYNY MANIECKIEJ-BOGDAN LUB JEJ MĘŻA ŁUKASZA BOGDANA. OBOJE SĄ PRAWDZIWYMI MISTRZAMI RYLCA. ZRESZTĄ OSĄDZICIE TO PAŃSTWO SAMI W KOLEJNYCH PREZENTACJACH. Zanim jednak na naszych łamach pojawią się kolejne prace, Krystyna Maniecka-Bogdan wyjaśnia w kilku słowach istotę linorytu i zdradza sposób jego wykonania.

- Technika linorytu wywodzi się z tradycyjnej techniki drzeworytu. Należy do druku wypukłego. Na papierze drukuje się to, co na matrycy (płytkę linoleum) pozostaje niewycięte – wypukłe. Matrycę można z łatwością ciąć we wszystkich kierunkach, wycinać linie i punkty. Jest to technika łatwiejsza w obróbce niż drzeworyt i pozwalająca na uzyskanie wielu odcieni szarości. Do pracy, w celu uzyskania pożądanego efektów, używamy ostrych dłut o różnych kształtach. Aby wykonać odbitkę należy nałożyć farbę drukarską na matrycę za pomocą gumowego wata, przyłożyć papier i całość docisnąć za pomocą prasy drukarskiej. Lepsze efekty uzyskujemy stosując cienki papier (gramatura ok 150 g/m²). Można też drukować ręcznie najlepiej na bibułce japońskiej, używając w tym celu specjalnego „pocieraka” (baren), wykonanego ze sznurka konopnego owiniętego w liść bambusa lub zwykłej ciężkiej kuchennej.

Opis pracy, którą prezentujemy jako pierwszą: tytuł: „Wieża Babel” z cyklu „Raj”, praca inspirowana jest utworem Jacka Kaczmarskiego „Wieża Babel”, autor: Krystyna Maniecka-Bogdan, rozmiar: 21 cm x 21 cm, technika i rok wykonania: linoryt, 2013 rok.

Droginia

historyczne podróże MARKA STOSZKA

Zasani jedziemy, wytrwali mogą nawet przejść, do Drogini, kolejnej bardzo starej i bardzo ciekawej wsi w okolicach Myślenic. Droginia została w czasie budowy zbiornika dobczyckiego wysiedlona, częściowo zaś przeniesiona z doliny Raby na stoki Tulei oraz w rejon ujścia rzeki „Trzemeśnianki”. W obrębie Drogini znajdują się Banowice, dawniej odrębna miejscowość. Według lokalnej tradycji istniała tu osada jeszcze w czasach pradawnych, ale tak naprawdę, według kronik historia miejscowości zaczyna się w roku 1239. Wtedy to właśnie kasztelan krakowski Klimunt Markowicz z rodu Gryfitów, wraz ze swoim przyrodnim bratem Makiem wykupił wieś z rąk księcia i nadał ją ufundowanemu przez Teodora Gryfitę klasztorowi cystersów wówczas jeszcze zlokalizowanemu w Ludźmierzu, ale już niebawem przeniesionemu do Szczyrzyca. Wykaz świętopietrza z lat 1325–27 wymienia we wsi istnienie drewnianego kościoła. Z 1347 roku pochodzi pierwsza wzmianka o Banowicach. Według tradycji we wsi kazania miał głosić święty Wojciech w czasie swej misji ewangelizacyjnej po państwie Wiślan.

Wieś podobnie, jak inne okoliczne miejscowości, na przestrzeni wieków przechodziła z rąk do rąk. Podczas rabacji w 1846 roku miały tam miejsce tra-



foto:autor

giczne wydarzenia. Banda chłopska zamordowała dziedzica Drogini Dominika Dąbskiego oraz jego oficjalistę czyli urzędnika dworskiego, który miał pieczę nad majątkiem. Po tym wydarzeniu właścicielami liczącego 1200 ha folwarku została rodzina Bzowskich, która pozostała tam aż do końca, czyli do reformy rolnej. Na przełomie listopada i grudnia 1914 roku w rejonie Drogini i Banowic toczy-

ły się zażarte walki między wojskami rosyjskimi, a austriackimi. Wydarzenia te upamiętnia cmentarz wojenny w Banowicach, na którym pochowano 141 żołnierzy austriackich, 4 Niemców oraz 46 Rosjan – polegli oni w większości na początku grudnia 1914 roku na terenie od Sierpawia po Zasań. W czasie tych właśnie walk miało miejsce zdarzenie, które przeszło do historii, jako „Cud nad Rabą”. Na terenie Drogini odbyły się 24 sierpnia 1944 roku niesławne i bardzo tajemnicze rozmowy komendanta obwodu AK Myślenice ppor. Wincentego Horodyńskiego „Kościesz” z Niemcami. Do dzisiaj wydarzenie to owiane jest mgłą tajemnicy.

Po wypełnieniu wodą zbiornika dobczyckiego w roku 1985 centrum wsi przeniosło się na jego brzeg. W tym czasie wyburzono znajdujący się nad zalewanym terenie kościół z 1910 roku wraz z plebanią oraz dwór modrzewiowy z 1780 roku, który rozebrano i przeniesiono do skansenu w Wygiełzowie. Droginia jest z pozoru zwykłą miejscowością, ale za to z niezwykłą historią. Zapraszam do jej odwiedzenia i poznania jej historii.

Od września, na okres kilku miesięcy wyjedziemy daleko poza Myślenice, aby zgłębić historię jednej z największych operacji I wojny światowej. Już dziś zapraszam.

Okupacja

teresa święch
cz. V



fot. maciej haku

PISZĄC O OKRESIE OKUPACJI TRUDNO NIE WSPOMNIEĆ O POSTACI KAZIMIERZA SAPIŃSKIEGO, KTÓRY W SZCZEGÓLNY SPOSÓB ZAPISAŁ SIĘ W MOJEJ PAMIĘCI. KIEDY PO LATACH OGLĄDAM SERIAL „STAWKA WIĘKSZA, NIŻ ŻYCIE” BOHATER TEGO SERIALU HANS KLOSS JAWI SIĘ DLA MNIE NIE TYLKO JAKO POSTAĆ FIKCYJNA, LECZ JAKO POSTAĆ, KTÓRA MIAŁA SWÓJ PIERWOWZÓR W OSOBIE ZNANEGO MI KAZIMIERZA SAPIŃSKIEGO.

Kazimierz Sapiński pochodził z Wadowic, nie wiem, w jaki sposób znalazł się w Myślenicach. Oficjalnie pracował w Kripo czyli niemieckiej policji kryminalnej, działając równocześnie w oddziale partyzanckim. Nie wiem też, w jaki sposób poznał moją starszą o siedem lat siostrę i zakochał się w niej, jak wtedy mówiono, „na zabój”. Zaczął bywać u nas w domu częstym gościem. Spędzał z nami długie wieczory zimowe, ponieważ nie obowiązywała go godzina policyjna. On jeden z osób dorosłych traktował mnie poważnie, rozmawiając ze mną na różne tematy. Mówił do mnie „Renuśka”, a ja nazywałam go „Kikus”. To jemu zawierzałam moje dziecięce tajemnice, jak na przykład to, że nie wierzę w świętego Mikołaja, bo znalazłam w szafie materiał, z którego mama jako Mikołaj uszyła mi sukienkę.

Kazimierz miał duże zdolności malarskie. Kiedy malował z natury pole ze snopkami, próbowałam go naśladować, niestety bez efektu. To była moja jedyna, nieudana próba malarska, która ostatecznie zniechęciła mnie do rysunków. Kazimierz potrafił także pięknie czytać, niczym aktor. Jako dziecko, w długie zimowe wieczory słuchałam „Pana Tadeusza” w jego interpretacji. To pod wpływem jego głosu ukazywały się w mojej wyobraźni obrazy z „Pana Tadeusza”. Myślę, że to wspomnienie spowodowało, iż za pierwsze zarobione w moim życiu pieniądze kupiłam w 1950 roku świeże wydanie „Pana Tadeusza”, książkę w pięknej oprawie. Najważniejsza jednak była działalność Kazimierza Sapińskiego w ruchu oporu. Przekazywał wiadomości partyzantom dotyczące zamiarów Niemców i w ten sposób ostrzegał ich i zachęcał do akcji przeciwko okupantowi. Pod koniec wojny, kiedy wśród Niemców zapanowała panika, opuścił swoje stanowisko pracy, aby przyłączyć się do partyzantów. Po wojnie wrócił do Wadowic, skąd pisał do mnie kartki, pytając w nich głównie o moją siostrę, która niestety nie odwzajemniła jego uczucia, zakochała się bowiem w innym mężczyźnie, za którego wyszła za mąż.

Z okupacją wiąże się jeszcze jedna historia, związana z dwoma psami, których los dowodzi, jak trudny był to okres nie tylko dla ludzi, ale także dla zwierząt. Jeden pies to Doks rasy dog, olbrzymie zwierzę o jasnobrażowej sierści, bardzo przy tym łagodny i przyjazny, przywiązany do wszystkich członków naszej rodziny. Drugi pies to Reks, owczarek alzacki, mówiąc prościej – wilczur. Reks należał do rodziny Goławieckich, z którą to rodzi-

Okupacja niemiecka to nie tylko niedola i dramat ludzki, to także trudne chwile dla... zwierząt. Przekonuje o tym kolejny odcinek cyklu „Obrazki z przeszłości” autorstwa Teresy Święch, z którego dowiadujemy się o losach dwóch ukochanych... psów: Doksa i Reksa.

nią pozostawaliśmy w bardzo bliskich relacjach. Zarówno Doksa jak i Reksa zabrali Niemcy, po to, aby je tresować do walki z partyzantami. Mimo iż posiadali olbrzymią przewagę w uzbrojeniu, to jednak bali się wchodzić do lasu. Obawiali się partyzantów, którzy znając lepiej od nich teren mogli ich zaskoczyć. Dlatego konfiskowali ludziom rasowe psy, aby je następnie szkolić do zwalczania partyzantów.

W Myślenicach, na rogu, za budynkiem dzisiejszego starostwa, znajdował się ogrodzony plac, na którym Niemcy ustawili klatki z przeznaczonymi do tresury psami. To tam właśnie zabrano Doksa, za którym bardzo płakałam. Moja znajoma jeszcze ze szkoły język niemiecki ciocia (wraz z moją mamą ciocia uczęszczała do szkoły przed I wojną światową, a mieszkając w Bochni znajdowały się pod zaborem austriackim, dlatego w szkole uczyli ich niemieckiego, mama mówiła mi, że nawet pacierz odmawiany był przez dzieci przed lekcjami po niemiecku) zabrała mnie na ten plac i uprosiła strażników, aby na chwilę wypuścili z klatki Doksa. Witając się ze mną pies stanął na dwóch

łapach, przednie opierając o moje ramiona i lizał moją twarz. Ciocia uwieczniła ten moment na zdjęciu, bowiem zabrała ze sobą aparat fotograficzny. Było to radosne przywitanie psa ze mną, które stało się niestety ostatecznym pożegnaniem z ukochanym zwierzęciem (do dzisiaj na próżno szukam w domowym archiwum tego zdjęcia).

Jeszcze bardziej smutna jest historia Reksa. Ten biedny pies, niewiadomo jakim sposobem, wyrwał się Niemcom i któregoś wieczoru powrócił do swoich właścicieli. Ich radość była nie mniejsza, niż radość samego Reksia, ale wnet przyszła refleksja: co dalej? Przecież Niemcy zauważywszy ucieczkę Reksia, na pewno przyjdą po niego. Ktoś z rodziny wymyślił sposób jak ratować psa. Pomysł polegał na zaprowadzeniu go do znajomego gospodarza na Górnej Wsi i przechowanie tam przez jakiś czas. Natychmiast jednak pojawiła się przeszkoda. Obowiązywała już godzina policyjna i nie można było opuścić domu bez obawy, że napotka się niemiecki patrol. Wówczas Niemcy zabraliby ze sobą nie tylko psa, ale także prowadzącą go osobę. Postanowiono poczekać do rana, aby tuż po godzinie policyjnej zaprowadzić psa w bezpieczne miejsce. Nie trzeba było jednak długo czekać. Niemiec żołnierz załomotali do drzwi domu Goławieckich i weszli do środka. Reksio w lot pojął dramaturgię sytuacji i wczuł się pod kanapę w pokoju, tak że nie było go widać. Nie pytając o pozwolenie Niemcy weszli do pokoju. Kiedy wydawało się, że nic nie znaleźli i mieli wychodzić, jeden z żołnierzy znalazł się blisko kanapy i wówczas Reksio zawarczał. Oczywiście siłą wyciągnęli go i zabrali ze sobą, tym razem już na zawsze.

Pisząc na koniec o tej smutnej historii dwóch ukochanych psów, chcę kolejny już raz uzmysłowić Czytelnikom „Sedna” czym była wojna i okupacja niemiecka. Los Polaków był niepewny, ludzie żyli w ciągłym strachu drżąc o życie własne i swoich bliskich, przy tym wszystkim dręczyła ich bezsilność wobec okupanta. Były to czasy straszne, kiedy nawet losy zwierząt, w tym przypadku psów, były wielce niepewne.

cdn.

ad vocem do poprzedniego odcinka cyklu: „Obrazki z przeszłości”

Z pogromu w Zawadzie z rodziny Fijałkowskich na szczęście ocalał nie tylko najmłodszy brat partyzanta Józefa Fijałkowskiego, ale też kilkunastoletnia siostra Stefania, która nie straciła zimnej krwi, porwała młodszego braciszka i wraz z nim podjęła próbę ucieczki przez pole. Niestety zwyrodnialcy strzelali do nich, Stefania własnym ciałem osłaniała dziecko, została jednak postrzelona podobno w płuco. Na szczęście wyzdrowiała.

1 września 1946 roku po ukończeniu w czerwcu rocznej szkoły przysposobienia spółdzielczego Stefania została szkolną sekretarką równocześnie zdobywając w niej kwalifikacje zawodowe. We wspomnieniu dedykowanym dyrektorowi Stanisławowi Ziarkiewiczowi (przepracowała z nim ponad 30 lat!) z okazji jego przejścia na emeryturę, napisała o tym okresie: *Nie był to łatwy okres w moim życiu, po bolesnych przeżyciach okupacyjnych. Musiałam żyć i jakoś egzystować - mogłam polegać jedynie na sobie i ludzkiej życzliwości i dobroci.*

W 1949 na listach pracowników szkoły występuje jako Stefania Kochan. Mimo urodzenia i wychowywania gromadki pociech - pięciorko czy sześciorko, przepraszam ale nie pamiętam - przez te wszystkie lata wzorowo i z wielką życzliwością wykonywała obowiązki zawodowe.

antonina **sebesta**

Pod koniec dnia zjechali z pomocą sowieccy robotnicy, a właściwie ich konie, bez których z pewnością nie dałoby się przytargać ciężkich drewnianych bali na teren budowy. Sowietci okazali się prawdziwymi ekspertami w konstruowaniu prymitywnych chat, bez użycia gwoździ i tradycyjnego spoiwa. Szczeliny w ciasno układanych pniach wypełniali rosnącymi w lesie chwastami, zapobiegając tym sposobem przedostawaniu się do środka wilgoci i zimna. W otwory okienne, zamiast szyb, wkładali wielkie bryły lodu. Funkcją cementu pełniła specjalna mieszanina wody i skruszonych soli, którą wlewało się między drewniane bale. Połączone ze sobą podróżne kufry zastępowały drzwi, a płaty kory sosnowej służyły za dachówkę.

Na środku każdej chaty stawał metalowy kocioł, kształtem przypominający żelazną beczkę. Przewody kominowe do odprowadzania spalin tworzone z zespalanych na łapu - capu puszek po najróżniejszych przetworach. Obok tak prowizorycznych pieców należało czuwać dniami i nocami, przy każdym stał więc bez przerwy jeden z nas, dokarmiając „przepaścistą paszczę” przyniesionym z lasu biopaliwem. Drewniane ławy, pełniące funkcję łóżek, umieszczone były wysoko nad ziemią, aby jak najbardziej odizolować je od zimnego podłoża. Powierzchnia przeciętnej chaty wynosiła 16 metrów kwadratowych. Zazwyczaj musiały się na niej pomieścić cztery rodziny.

W naszej chacie zamieszkało 13 osób. Zamiast kołder lub puchowych pierzyn, otrzymaliśmy cieniutkie koce, które każdej nocy przymarzały do zlodowaciałych ścian. Chociaż „piec” palił się non-stop, wszystko, co znajdowało się w pobliżu ścian, zamarzało noc w noc. Kiedy budziliśmy się rano, byliśmy częścią owej zmarzliny. Ponieważ przydział ław wynosił: jedna na rodzinę, musieliśmy układać się bokiem, by starczyło miejsca dla wszystkich. Spaliliśmy więc tak jak sardynki w puszcze, do tego mrożone. Nie mieliśmy jednak wyboru. Okazało się, że człowiek zgodzi się na najbardziej ekstremalne warunki, by przeżyć.

Każdy z nas miał ściśle określony - i dokładnie odważony przez Rosjan - przydział chleba. Robotnikowi należało się „aż” osiemset gramów, niepracującemu - gwoli sprawiedliwości - tylko czterysta. Do chleba nasi sowieccy opiekunowie dostarczali nam też co miesięczne porcje ryżu, masła, cukru i... wódki. Od głodowej śmierci ratowali nas Jakuci, handlujący rozwożonym saniami, ponadprogramowym mięsem (głównie zajęczym) i mrożonym mlekiem. W lecie nasza sytuacja uległa znacznej poprawie, głównie dzięki leśnym owocom, którymi mogliśmy się dokarmiać.

Poza dostarczaniem rozkazów i „pożywienia” Sowietci zupełnie o nas nie dbali. Nigdy nie pytali, jak sobie radzimy. Wiedzieliśmy, że jesteśmy zdani sami na siebie. Improvizowaliśmy każdego kolejnego dnia. Jako kuchennej płyty używaliśmy zazwyczaj naszego wielofunkcyjnego źródła ciepła, czyli żelaznej beczki. Szczerze mówiąc, nie bardzo pamiętam, jak odbywało się gotowanie, bo zajmowały się nim moja mama i siostra. Ja, ojciec i brat byliśmy bez przerwy w pracy.

Znaleźliśmy się w miejscu i czasie tak prymitywnym, tak podstawowym, tak oczyszczonym z dotyku cywilizacji (nie mieliśmy nawet światła), że trudno jest mi opisać, co wtedy czułem: ja, młody człowiek, polski Żyd, wyjęty kilka chwil wcześniej z serca żydowskiej, myślenickiej, polskiej, europejskiej i światowej kultury.

Wkrótce po tym, jak wszystkie chaty zostały zbudowane, przybył do nas z wizytą przedstawiciel sowieckiej armii, w randze kapitana. Chodził od „domu” do „domu”, próbując nawiązać kontakt z ludźmi. Kiedy dotarł do nas, ja sam zacząłem z nim rozmawiać. W którymś momencie zapytał, czy chciałbym podjąć jakąś pracę. W praktyce, choć gotowość do pracy była zawsze mile widziana, wcale nie byliśmy do niej zmuszani. Odpowiedziałem pozytywnie. Wiedziałem przecież, że pracujący mężczyźni mają prawo do podwójnej porcji chleba. Kapitan, najwidoczniej ucieszony, z miejsca obiecał mi pracę w piekarni. Słyszając słowa „w piekarni” popadłem w stan totalnej euforii, i nie bez przyczyny. W naszej sytuacji, praca w piekarni była czymś więcej, niż najwyższa wygrana na loterii.

Praca w piekarni oznaczała ciepło, bezpieczeństwo, spędzanie większości dnia z dala od syberyjskiego chłodu. Praca w piekarni oznaczała też dostęp do chleba i mąki. Dzięki pracy w piekarni, myślałem, dzięki tym kilku słowom kapitana wypowiedzianym w naszej chacie, dostanę być może szansę uratowania całej rodziny. Kiedy wszyscy inni będą się zarzynali ciężką fizyczną pracą przy budowie dróg i wycince drzew, ja będę podjadał ciepły chlebuś w rozgrzanej piekarni. Wiedziałem przecież, jak Noe, mój brat, dzień po dniu, niczym Syzyf, dźwiga ciężkie bale i buduje wiecznie zanikające, wiecznie marznące syberyjskie trasy. Wiedziałem, jak ta praca go zmienia, jak go wycieńcza, jak z dnia na dzień robi się coraz bardziej wściekły. Zgodnie z lokalnym prawem sowieckiej republiki, dolna granica temperatury, do której mieliśmy pracować wynosiła minus 50 stopni Celsjusza.

Wymarzona piekarnia, w której zatrudnił mnie kapitan, znajdowała się po drugiej stronie rzeki. W jej pobliżu stało kilka chat, poza nimi teren był raczej wymarły. Od razu pierwszego dnia, kiedy tylko stawiłem się do pracy, dostałem specjalne ubranie chroniące mnie od zimna. Rosjanie i Jakuci zwali je kufajką. Nie bez powodu, kufajki używała też sowiecka armia. Kufajkowy zestaw składał się z płaszczka i spodni, obu podszytych podszewką, i obu wypełnionych watą. Do tak ocieplonego stroju nosiło się buty z filcu, ciasno opasane sznurówkami. Moja praca w piekarni polegała głównie na wyrabianiu ciasta. Wlewałem wodę i mąkę do dużego drewnianego naczynia według ustalonych wcześniej proporcji, po czym rękoma zaczynałem to ciasto wyrabiać. Po kilku godzinach, kiedy było już wystarczająco lśniąca i sprężyste, przelewałem je do niewielkich foremek, w których wypiekaliśmy chleb. Najpopularniejszy bochenek nazywał się „cegła” i tak też wyglądał. Oficjalną piekarską pensję otrzymywałem w rublach, ale dodatkowo, pod koniec każdego dnia, dostawałem cały bochenek chleba. W pracy natomiast jakiegokolwiek podjadanie, było surowo zakazane.

Któregoś dnia obiecałem mamie, że „zorganizuję” jej trochę mąki. Worki z mąką, które były moim celem, stały na zewnątrz budynku piekarni. Wyszedłem i zacząłem otwierać jeden z nich. Przeciąłem worek, próbując wyjąć garść produktu. Ku mojemu zdziwieniu ręka utkwiała mi w środku. Mąka była całkowicie zamrożona, a wraz z nią moja ręka. Pospiesznie wyjąłem ją z worka, próbując zapewnić jej należyty dopływ krwi, głównie rozcierając ją śniegiem. Nigdy potem nie próbowałem już czegoś ukraść.

W letnie dni, kiedy rzeka odmarzała, jej przekraczanie okazywało się nagle problematyczne. Przeno-

szenie chleba na drugi brzeg, nie stanowiące zimą żadnej trudności, zamieniało się w niewykonalny proceder. Latem prąd w rzece ożywał i jedynym sposobem jego sforsowania było użycie konia. Ładowałem więc paczki z chlebem na jego grzbiet i przeprowałem się przez rzekę w ten sposób.

Pewnego dnia sowiecki zarządca magazynu poprosił wszystkich pracowników o wsparcie jego „projektu”. Projekt polegał na przeniesieniu worków z żywnością (każdy o wadze około pięćdziesięciu kilogramów) z sań do magazynu i ułożenie ich w bardziej zorganizowany sposób. Za tę „szczególną pracę” wszyscy mieliśmy otrzymać szczególne wynagrodzenie. To właśnie wtedy zarobiłem pieniądze, które potem pomogły całej naszej rodzinie. Pomoc medyczna na wygnaniu nie istniała. Po prostu. Ludzie chorzy, słabi, potrzebujący wsparcia, potrzebujący leków czy innej medycznej interwencji, nie mieli na nią najmniejszych szans. Kiedy zachorowałem na skorbut, nazywany przez nas cingą, mogłem liczyć jedynie na to, że po prostu „samo przejdzie”. Skorbut spowodowany jest brakiem witaminy C. Codziennie budziłem się z nastawieniem, że to minie i wreszcie tak się rzeczywiście stało. Co tydzień dostawaliśmy 200 gramów wódki na osobę. Ponieważ było nam łatwo z niej zrezygnować, zbieraliśmy ją i używaliśmy jako produktu handlowej wymiany za wszystko inne. Handel wódką był domeną mojej siostry. To ona zajmowała się jej kumulowaniem i wyprawami do, oddalonej o dziesięć kilometrów, kopalni złota, w celu jej „użyteczności” czyli wymiany na bardziej użyteczne produkty spożywcze.... Pomiędzy uchodźcami można było znaleźć ludzi wszelakich profesji. Był cieśla, który budował przepiękne domy. Był szewc, który naprawiał nam buty. Był technik dentystryczny, który przywiózłszy z sobą potrzebne materiały i narzędzia, pomagał w stomatologicznych problemach. Zdarzyło się, nieszczęśliwie, że zostałem jednym z jego pacjentów. W syberyjskiej głuszy, nie tylko przeprowadził u mnie leczenie kanałowe, ale też wprawił mi metalowe zęby. Nasze życie było trudne i wymagało codziennych wyrzeczeń. W ekstremalnych sytuacjach ludzie zmuszeni są do robienia ekstremalnych rzeczy, rzeczy, których nie robiliby w żadnych innych okolicznościach. Na naszych oczach rozpadały się rodziny. Kobiety opuszczały mężów, żeby najmować się za kucharki u Rosjan. Cnotliwe córki nawiązywały z nimi gorące romanse. Nikt nie wie, co jest w stanie zrobić i do czego się posunąć by ratować własne życie lub życie swoich najbliższych. W tym samym czasie, bez względu na trudną sytuację, my młodzi zbieraliśmy się w jednej z chat i organizowaliśmy imprezy, wyśpiewując jak najgłośniej się dało, nasze ulubione przeboje, po polsku albo w jidysz. Ponieważ mieszkaliśmy bardzo blisko bieguna północnego, doświadczaliśmy fenomenowi białych nocy. Na zewnątrz było jasno aż do trzeciej nad ranem. Potem nastawała jedyn godzina ciemności, a po niej wstawał kolejny dzień. Jur położony był blisko sześćdziesiątego szóstego równoleżnika szerokości geograficznej, na północ którego dzień i noc polarna trwają niemal pół roku. Przez cały okres pobytu w Jurze byliśmy całkowicie odcięci od świata. Zero komunikacji. Jedynie wiadomości, jakie mieliśmy, pochodziły od Jakutów, którzy od czasu do czasu dostarczali nam jedzenie. Nawet one nie były jednak wiarygodne, bo pochodziły głównie od sowieckich władz. Spędziliśmy w Jurze piętnaście miesięcy, od września 1940 do stycznia 1942.

Maria Jamróz (1935-2019)



foto: anahita rezaei

Maria Jamróz urodziła się 29 listopada 1935 roku. Jak notują miejscowi kronikarze „całe życie mieszkała w Wiśniowej”. W istocie obok nazwiska Pani Marii należałoby dopisać przydomek „Szewcowa”, a to dlatego, że pierwszym Jej mężem był Jan Konieczny, znany i lubiany w całej okolicy szewc wykonujący w zasadzie wszystkie możliwe, jak na owe czasy, rodzaje butów szytych, na przykład kaptcie, góralskie kierpce, cholewki itp. Przydomek Marii Jamróz był o tyle istotny, ponieważ tym sposobem o Marii „Szewcowej” wiedzieli na ogół wszyscy mieszkańcy Wiśniowej i sąsiadujących miejscowości. Pani Maria „Szewcowa” była znana w tutejszym środowisku, jako jedna z niewielu twórczyń uprawiających rzadko spotykaną na tym terenie dyscyplinę rękodzieła – kilimkarstwo. W okresie lat 60-tych XX wieku Pani Maria zasłynęła przede wszystkim jako wytrwała krawcowa i hafciarka niektórych elementów stroju ludowego. Z upływem lat okazała się wyborną twórczynią wspaniałych kilimów – dwustronnych, wełnianych, barwnych tkanin dekoracyjnych. Przez wiele lat współpracowała aktywnie z krakowską „Cepelią”, która poznawszy Jej talent i możliwości twórcze dostarczyła Jej ręczne krosno tkackie i niezbędną do tej pracy barwną przędzę i kolorową wełnę. Pani Maria lubiła tę „rócną robotę” i jak mawiała „lubiła to chałupnictwo”. Starła się wykonać dziennie co najmniej 20 centymetrów wyrobu i około sześciu metrów miesięcznie. Zdarzało się niekiedy, że cepeliowski brakarz wypatrzył jakiś drobny błąd. Wzór kilimu musiał być zgodny i dosłowny z przekazanym wcześniej rysunkiem. Trzeba było w tej sytuacji tkaninę rozpruć, poprawić i utkać od nowa. Sąsiedzi, a zwłaszcza znawcy tego rodzaju tkanin wspominają zgodnie, że wśród wielu kilimów będących dziełem Jej rąk na uwagę zasługiwały w szczególności: „Barbakan”, „W drodze na jarmark”, „Brama Floriańska”, fragmenty architektury wielu miast polskich, a ponadto cieszące się wielkim powodzeniem bywalców cepeliowskich sklepów i galerii kilimy z motywem kwiatów polnych i ogrodowych. Dodajmy na koniec, że rękodzielniczą działalność Marii Jamróz odnotowały i opisały w bezcennej publikacji Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego pt. „Wiśniowska rócnó robotá” Joanna Dziadkowiec-Greganić i nasza krajanka Agnieszka Dudek (Wiśniowa – Wrocław 2019).

PORA NA KOLEJNY ODSKOK ZE SZLAKU MAŁEJ PĘTLI BIESZCZADZKIEJ, TYM RAZEM DO WEWNĄTRZ OBSZARU OGRANICZONEGO TĄ MALOWNICZĄ TRASĄ. TO OD KILKUDZIESIĘCIU JUŻ LAT TEREN AKTYWNEGO UPRAWIANIA TURYSTYKI, ZARÓWNO PIESZEJ, JAK I ZMOTORYZOWANEJ, WSZELKICH ZORGANIZOWANYCH I INDYWIDUALNYCH FORM NIETYLKO LETNIEGO WYPOCZYNKU, RAJ DLA MIŁOŚNIKÓW ŻEGLARSTWA I KAJAKARSTWA – JEDNYM SŁOWEM ZALESIONE GRZBIETY I KOPCE GÓR SANOCKO - TURCZAŃSKICH, STANOWIĄCE SZEROKĄ OTULINĘ JEZIORA SOLIŃSKIEGO, NIE BEZ POWODU NAZYWANEGO „BIESZCZADZKIM MORZEM”.

Zatem niedługo po wyruszeniu z parkingu pod Leskim Kamieniem opuszczamy ruchliwą drogę E84 kierując się na południe. Choć z pewnością zaśluziliśmy na chwilę odpoczynku i poleniuchowania na plaży, nie wypada nam poruszać się zbyt szybko. Jedziemy zatem wolno drogą wzdłuż potoku Olszanka w kierunku wsi Myczkowce. To jedna z najstarszych bieszczadzkich osad (jej założenie jest datowane na 1376 rok), stanowiąca aż do końca pierwszej połowy XVI wieku własność znanego nam już bardzo dobrze rodu Kmitów. W Myczkowcach zatrzymamy się dwukrotnie: przy Centrum Kultury Ekumenicznej - już teraz i, trochę później, przy Zaporze Myczkowce.

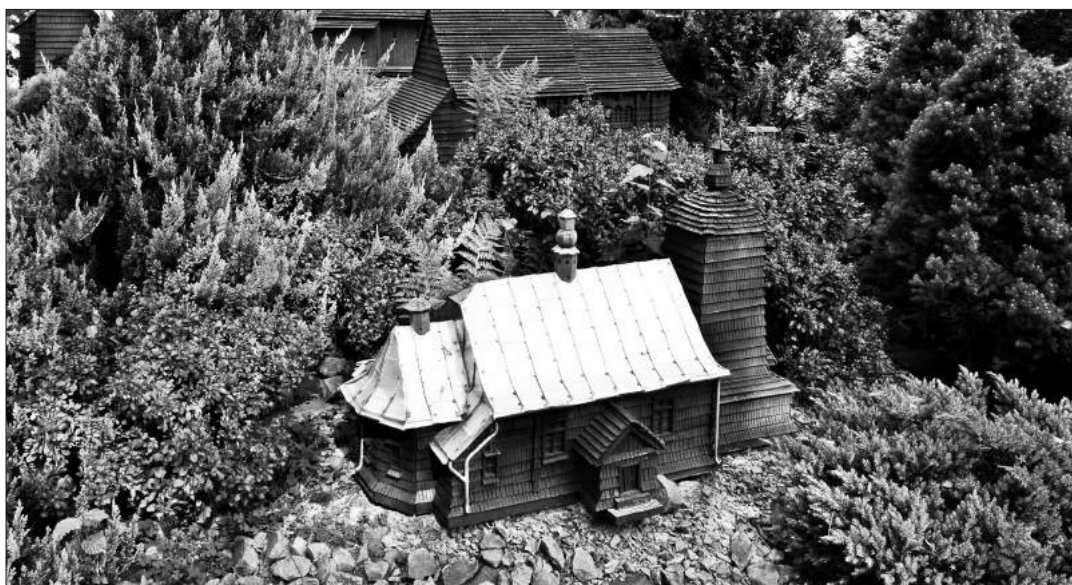
W części otwartego w październiku 2007 roku Centrum, na niemal hektarowej powierzchni znajduje się niezwykle interesująca galeria – park miniatur cerkwi i kościołów z terenu południowo – wschodniej Polski, Ukrainy i Słowacji. Wszystkie modele powstały w tej samej skali - 1:25, a wykonał je zespół modelarzy kierowany przez Janusza Kuliga z Chmielnika pod Rzeszowem. Co istotne i niezwykle cenne dla miłośników tego typu architektury sakralnej oglądamy tu nie tylko świątynie do dzisiaj istniejące, lecz także takie, których już nie możemy odwiedzić. Modeli jest łącznie 140, a rozmieszczone są w 10 grupach na niewielkich pagórkach zestawione według geograficznych regionów i grup etnicznych. Warto wspomnieć, że kompozycja architektoniczna terenu jest dziełem Norberta Piekarskiego z Bliznego. Podziwiamy mistrzowsko wykonane modele świątyń: Pogórzeń, Dolinian, Łemków polskich i słowackich, Bojków, Bojków ukraińskich, Zamieszkańców i Grupy Polsko-Ruskiej. Rozpoznajemy wiele obiektów, które już zwiedziliśmy podczas naszych wędrówek, przyglądamy się tym, które planujemy obejrzeć

niebawem i tym, których z pewnością nie zobaczymy już nigdy. Makiety umieszczono wśród miniaturowej roślinności charakterystycznej dla danych obszarów. Dodatkowym urozmaiceniem są płynące i szumiące wodne strugi, a także rozbrzmiewające z cerkwi prawosławne i greckokatolickie śpiewy. Co oczywiste, przy tak profesjonalnym wykonaniu nie może zabraknąć tabliczek z opisem każdej znajdującej się tu miniaturowej budowli. Na zakończenie wizyty wypada dodać dla zainteresowanych i pragnących tu przybyć informację, że na terenie Centrum znajdują się także inne atrakcje, takie jak: Ogród Biblijny, Park Owadów, Zwierzyniec, Ścieżka Etnograficzna „Od ziarna do chleba”, oraz inne wystawy o charakterze edukacyjnym. Jest tu także kawiarnia i restauracja.

Po przerwie na kawę ruszamy w kierunku zapory. Ta „starsza siostra” potężnej tamy solińskiej, jest stosunkowo mało znana, i choćby z tego powodu wypada przy niej zatrzymać się i parę słów do grupy powiedzieć. Koncepcja budowy zapory pozwalającej trochę ujarzmić kapryśny nurt górnego Sanu powstała już w okresie międzywojennym, w oparciu o projekt opracowany przez prof. Karola Pomianowskiego z Politechniki Warszawskiej. Rozpoczęta budowa elektrowni wodnej o produkcji średniej rocznej mocy 19 milionów kWh została jednak przerwana z powodu braku funduszy. Idea kontynuowania prac z wykorzystaniem elementów zbudowanych jeszcze przed wojną odżyła po podpisaniu polsko-radzieckiej umowy o zmianie granic w 1951 roku. Wysokość betonowo – ziemnego wału o długości ok. 460 metrów została podniesiona do 15 metrów, dzięki czemu udało się zwiększyć pojemność zbiornika do 10,9 mln m sześć i moc elektrowni do 8,3 MW. Warto tu wspomnieć, że elektrownia w Myczkowcach produkuje tylko o ¼ energii elektrycznej mniej niż 24 razy większa elektrownia w Solinie.

Po zakończeniu robót budowlanych w 1960 roku powstał zbiornik wodny o powierzchni 2 km kw. i długości 6 kilometrów. To sztuczne jezioro o wąskim, mocno wystężonym kształcie otaczają malownicze, mocno zalesione stoki Koziańca, Grodziska i Berda - wszystkie sięgające powyżej 500 m n.p.m. Obecnie Jezioro Myczkowskie pełni rolę zbiornika wyrównania dobowego dla Soliny, co oznacza, że nadmiar wód, opuszczających w godzinach szczytu solińskie turbiny, zostaje z powrotem przepompowywany i transportowany do jeziora solińskiego specjalnym kanałem. Powoduje to znaczne wahania poziomu wód w Jeziorze Myczkowskim.

foto: autor



Park miniatur w Myczkowcach



Po co ty kobieto tyle tego przywozisz? czyli o co chodzi z tymi pamiątkami z podróży

ZDARZYŁO MI SIĘ WIELOKROTNIE USŁYSZEĆ TO PYTANIE Z UST OSÓB, KTÓRE PO RAZ PIERWSZY PRZESTĄPIŁY PRÓG MOJEGO POKOJU. GOŚCIE PRZYTŁOCZENI ILOŚCIĄ ZNAJDUJĄCYCH SIĘ TUTAJ GADŻETÓW ZALEGAJĄCYCH PÓŁKI, ZAJMUJĄCYCH POWIERZCHNIĘ WSZYSTKICH ŚCIAN, NIE WIEDZIELI, W KTÓRĄ STRONĘ SKIEROWAĆ WZROK I NA CZYM DŁUŻEJ ZATRZYMAĆ SPOJRZENIE. FAKT. NAZBIERAŁO SIĘ TEGO TROCHĘ PRZEZ TE OSTATNIE LATA!

Natomiast moja odpowiedź na pytanie: dlaczego? po co? była zawsze taka sama: „bo tak mi się podoba”. I na tym właściwie możnaby zakończyć rozważania na temat motywacji kupowania pamiątek. Bo czyż jest coś bardziej istotnego w tym względzie niż własne upodobania? Okazuje się jednak, że czasem niepozorne rzeczy przywiezione z odległych stron stają się nie tylko namacalnym dowodem na to, że się tam było, ale mogą być stymulatorem wspomnień i katalizatorem ponownie przeżywanych emocji, wynikających z kontaktów z Innym. Moje pamiątki bowiem są przede wszystkim odzwierciedleniem kulturowej specyfiki odwiedzanych miejsc.

Oto kilka przykładów, aby nie okazać się gołostownym: gliniane krążki, którymi zdobią się kobiety z plemienia Mursi (Etiopia), wkładając je w rozciętą dolną wargę, buty zrobione ze skrawków zużytych opon noszone przez mężczyzn w wielu krajach Afryki, japońskie kimono, indyjskie sari, notes z odchodów słońca, komplet pędzli do chińskiej kaligrafii i wiele, wiele innych mniej lub bardziej dziwnych „eksponatów” zajmuje przestrzeń mojego domu. Jak widać, stopień praktycznego wykorzystania zakupionych gadżetów jest u mnie ostatnim kryterium ich wyboru.

Wśród pamiątek, które cenię sobie szczególnie, są nie te kupione w sklepach czy na straganach, ale nabyte od ludzi, z którymi wchodziłam w interakcję. Miałam wtedy poczucie (mam nadzieję, że nie złudne), że pomagam tej właśnie konkretnej osobie. To na przykład: robiący fikołki drewniany pajacyk wystugany nieporadnie przez etiopskiego chłopca, czy bliżej nieokreślony instrument muzyczny zakupiony od pewnego staruszka – Hindusa, który bardzo prosił, aby dać mu zarobić. Tym sposobem zwykła rzecz staje się czymś więcej, bo przybiera „twarz” jej sprzedawcy, a martwe przedmioty „ożywają”, przywołując w pamięci konkretne sceny i osoby.

Losy takich zwykłych przedmiotów mogą być również ciekawe i sprawiać, że zyskują one przez to nowy, nieoczywisty walor. Tak było z pewnym drow-



fot. autor/ka

nianym gorylem, którego kupiłam podczas pobytu w wiosce Pigmejów w Ugandzie. Przywieźliśmy mieszkańcom w podarunku jedzenie, zapłaciliśmy za taniec, który nam zaprezentowali, ale zainteresowaliśmy się jeszcze trzema figurkami goryli, jak się okazało, na sprzedaż. Figurki, delikatnie rzecz ujmując, nie budziły zachwyty, ale naszą intencją było, aby pomóc! Dwa goryle trafiły w ręce moich koleżanek, a ten ostatni został samotny na brzegu ławeczki. Był najbrzydszy, z popękanym grzbietem i dlatego zapewne nie znalazł nabywcy. Jakoś dziwnie zrobiło mi się żal i pomyślałam, że go tu nie zostawię. Już w hotelu, po bliższych oględzinach okazało się, że razem z gorylem w gratisie dostałam jakieś małe, białe robaczki. Bezszykownie próbowałam żyjątka zneutralizować, aż w końcu stwierdziłam, że nie ma innego wyjścia-trzeba się ze zwierzakiem rozstać! Kiedy jednak następnego dnia opuszczałam hotel, zostawiając mojego goryla na parapecie, dogoniła mnie pani sprzątająca pokój, oddając mi moją „zgubę”. Taka sama sytuacja powtórzyła się przy okazji następnego noclegu w zupełnie innym miejscu. Uznałam więc, że najwyraźniej goryl jest mi przeznaczony! Szczelnie opatuliłam go w kilka warstw folii, schowałam do podręcznego plecaka i... zupełnie o nim zapomniałam w obliczu innych ugandyjskich atrakcji. Powrót do Polski to był dość długi lot z przesiadką. Po wylądowaniu w Warszawie okazało się, że ba-

gaż główny został gdzieś w Amsterdamie. Wiadomo, walizkę w końcu dowiozą, ale chciałoby się tak od razu po powrocie uraczyć rodzinę nie tylko opowieściami, ale też przywiezionymi prezentami. W pociągu do Krakowa wreszcie chwila wytchnienia, sięgam ręką do plecaka po książkę i oczywiście natrafiam na foliowe zawiniątko z poczciwym, wiernym gorylem. Ze wszystkich pamiątek tylko on doleciał ze mną na miejsce! Jaki z tego morał? Żaden! Po prostu to dowód na to, że zwykła pamiątka przestaje być „zwykła”, kiedy zyskuje swoją historię! Najbrzydszy Goryl Świata rozsiadł się już wygodnie na półce obok pudełka z niezbyt pięknymi koralami z wioski plemienia Konso (Etiopia), ale za to też mającymi swoją historię! Na nie bowiem zwrócił uwagę, zazwyczaj mało wylewny Wojciech Cejrowski, podczas mojego spotkania z nim na Targach Książki w Krakowie. Oko podróżnika dostrzegło w nich coś więcej niż tylko czerwone paciorki nanizane na szary, pospolity sznurek.

Zamiast zakończenia proponuję kilka pytań skłaniających do refleksji. Czy rzeczy mają nad nami władzę? Czy jak coś jest „nieużyteczne” to znaczy, że jest „bezużyteczne”? Czy fakt, że rzecz ma wartość tylko i wyłącznie emocjonalną czyni ją zbędną? Ja Państwu nie udzielę na nie odpowiedzi. Zróbcie to sami!

Z wakacyjnym pozdrowieniem!

dieta kopenhaska

agnieszka zięba

dietetyk radzi (66)

Ludzie mają różne marzenia, ale są takie, które pojawiają się bardzo często. Jednym z nich jest marzenie o smukłej sylwetce. Zamienić 44 na 40... a jeszcze lepiej: na 38. 36 wydaje się największym szczęściem... Diet, które mają pomóc w zmniejszeniu masy ciała jest całe mnóstwo. Dieta nazywana kopenhaską trwa 13 dni, jest bardzo rygorystyczna i pomaga stracić 20 kilogramów. Niestety: może poskutkować efektem jo-jo i utratą zdrowia zamiast kilogramów.

Opiera się o bardzo konkretne, niezamieniane składniki. Można ją stosować raz na dwa lata, a po złamaniu zasady diety kolejną próbę podjąć po 3 miesiącach. Dostarcza 500 – 800 kcal dziennie, pokrywa raptem 25 – 30% zapotrzebowania na energię, 6% zapotrzebowania na węglowodany, 60% zapotrzebowania na tłuszcz, 65%

zapotrzebowania na białko... nie brzmi to zbyt dobrze. W dodatku tylko w 20% pokrywa zapotrzebowanie na błonnik pokarmowy i aż w 150% - na cholesterol. Bardzo istotny jest czas trwania diety: nie można jej skrócić ani wydłużyć, równie ważne są godziny przyjmowania posiłków (między 8 a 9, następnie między 12 a 14, ostatni posiłek spożywa się pomiędzy 16 a 18). Nie można podjadać, istotna jest kolejność dni i posiłków w diecie – nie można ich zamieniać. Zaleca się 1,5 – 2,0 l płynów dziennie. Nie można żuć gumy ani prowadzić aktywnego trybu życia, a ponadto konieczne jest zrezygnowanie z soli. Istnieje również wegetariańska wersja diety. Są osoby, którym ta dieta jest zdecydowanie odradzana: młodzież, osoby aktywne fizycznie, kobiety ciężarne i karmiące, osoby w podeszłym wieku, osoby z choroba-

mi nerek, nadciśnieniem, miażdżycą, cukrzycą, osteoporozą, problemami z układem pokarmowym.

Dieta ma pewne zalety: wyrabia nawyk picia wody, redukuje ilość soli w diecie i oparta jest na jasnym, stałym jadłospisie.

Wad ma niestety więcej: mała ilość błonnika przyczyniać się może do zaporcz, duża ilość cholesterolu może odbić się niekorzystnie na naczyniach krwionośnych oraz ciśnieniu, ponadto znacząco osłabia, a zachwalana utrata masy ciała wiąże się z utratą wody oraz tkanki mięśniowej. Poza tym to niedobory składników mineralnych i witamin, ryzyko problemów z cerą, włosami, paznokciami, zawroty głowy, omdlenia, często uczucie głodu, a w związku z tym rozdrażnienie i utrata koncentracji... Chyba nie warto.

Mistrzostwa Europy w piłce nożnej Euro 2020 za nami. Opadły emocje, ucichły stadiony. Wprawdzie reprezentacja Polski „dała ciała” odpadając z turnieju już w fazie wstępnej, to jednak same mistrzostwa należały do ciekawych. Jak ocenia je z perspektywy czasu nasz ekspert, były piłkarz, trener i działacz Jerzy Moskal? Przeżyjmy to jeszcze raz.

Nasi zawodli

czyli echa piłkarskiego Euro 2020

najlepszy mecz

Najlepszy mecz to określenie trudne do jednoznacznie zdefiniowania. Dla każdego kibica będzie oznaczać wypadkową innych emocji. Biorąc pod uwagę poziom sportowy turnieju, zaangażowanie zawodników oraz zwroty akcji w meczach praktycznie każde zawody zasługiwały na odnotowanie.

najlepsza drużyna - Włochy

Już od fazy grupowej Włosi prezentowali się wspaniale. Rozpoczęli turniej od zwycięstwa nad Turcją 3-0 sygnalizując, że są drużyną zdeterminowaną do walki o mistrzostwo. Podsumowując postawę najlepszej, moim zdaniem, drużyny mistrzostw, zwracam uwagę na fakt poruszany już wcześniej czyli potencjał zawodników ławki rezerwowych oraz brak słabych punktów na poszczególnych pozycjach. Ustawienie 1-4-3-3 w przypadku tej reprezentacji sprawdzało się doskonale, pokazując płynność i skuteczność przejścia poszczególnych faz (obrony do ataku i odwrotnie).

największa niespodzianka in plus

Postawa drużyny duńskiej, która pod wieloma względami pokazała, jak powinna wyglądać i czym charakteryzować się „drużyna” piłkarska. Ekipa Kaspera Hjulmunda pokazała jedność i godną naśladowania postawę w sytuacji, gdy ciężkiego urazu doznał Eriksen, tworząc odpowiedni klimat i jedność z piłkarzem. Wyróżniła się również postawą na boisku, charakteryzując się żelazną dyscypliną taktyczną, płynnym przejściem z fazy obrony do ataku, w którym na szczególne wyróżnienie zasłużył Thomas Delaney.

największa niespodzianka in minus

Niestety ocena przygotowania motorycznego polskiej reprezentacji dobitnie pokazała jak odbiega ona od czołowych ekip kontynentu. Mówiąc o zaskoczeniach negatywnych należy wymienić także zbyt dużą pewność siebie arbitra Hiszpańskiego Antonio Mateu Lahoz, który po zawodach Portugalia – Francja odesłany został do domu czy awans do finału Anglików po kontrowersyjnym rzucie karnym przeciwko Danii.

najlepszy piłkarz

Tutaj mam dwie kandydatury: **Jorginho** Włochy. Dla pomocnika angielskiego klubu The Blues był to bardzo udany turniej. Lider drugiej linii reprezentacji Włoch podczas turnieju Euro 2020 miał największą liczbę odbiorów oraz największy dystans przebiegniętych kilometrów (86,5 km). Znakomicie zmieniał ciężar gry, warunkując zagrania w sektor boiska gdzie nie było przeciwnika, po odbiorze umiał zagrać tzw. podanie uwalniające. Perfekcyjnie swoją postawą harmonizował przejście z ataku do fazy obrony. **Harry Keane** Anglia. Zawodnik wszechstronny. Zdobywca czterech bramek. Napastnik kompletny, łączący znakomite wyszkolenie techniczne, dobrą motorykę, zmysł do gry kombinacyjnej, podporządkowanie zespołowi. To tylko niektóre cechy kapitana reprezentacji Anglii.

najpiękniejsza bramka

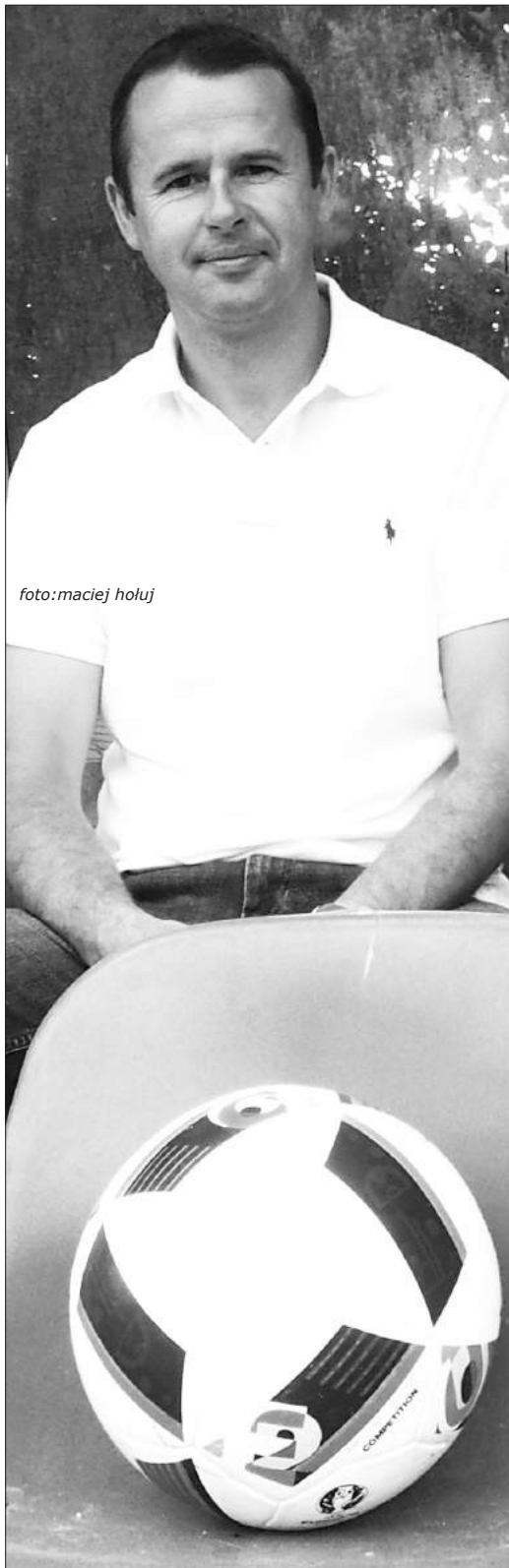


foto: maciej holuj

JERZY MOSKAL - urodzony 11 kwietnia 1974 roku w Myślenicach, absolwent Akademii Wychowania Fizycznego w Krakowie Wydział Nauczycielski, wychowanek Dalinu Myślenice. Przebieg kariery piłkarskiej: 1991-95 Wisła Kraków 35 występów (bramka z Legią Warszawa), 1994-95 Dalin Myślenice, 1996-97 Wisła Kraków, 1997-98 Karpaty Siepraw (studia). Pełnił funkcję prezesa sekcji piłki nożnej w Dalinie Myślenice.

Olbrzymim kłopotem w tworzeniu i wyselekcjonowaniu najpiękniejszej bramki jest brak definicji czym jest i jak powinna ona wyglądać. Dla mnie będzie to strzał techniczny po wcześniejszym dryblingu i ograniu kilku przeciwników. Oto moje propozycje; mecz Szkocja – Czechy 0-2, Schick 42’ piękny lob z połowy boiska, Węgry – Portugalia 0-3, Cristiano Ronaldo 90+2’ składna akcja drużyny Portugalii zakończona prostopadłym zagranieciem i wykończeniem przez Ronaldo, Holandia – Ukraina 3-2, Jarmołenko 75’, opanowanie piłki z zejściem do środkowej strefy boiska i techniczny strzał „na długi słupek”, Dania – Belgia 1 – 2, Kevin de Bruyne 71’, piękna bramka po akcji kombinacyjnej wykorzystująca potencjał uderzenia Belga, Szwecja – Polska 3-2, Lewandowski 61’, opanowanie długiej piłki i mocny strzał z narożnika pola karnego.

największy zawód

Postawa i zakończenie turnieju w meczu 1/8 Finału Euro 2020 reprezentacji Francji, która nieoczekiwanie poległa w meczu ze Szwajcarią (rzuty karne).

ocena występu kadry narodowej Polski

Nasza reprezentacja zdobyła tylko jeden punkt. Wypadła słabo. Nie da się jednym słowem powiedzieć, co zawiodło, bo przyczyn było wiele - błędy, źle zestawiony skład, słabe zaangażowanie, brak współpracy między formacjami, brak lidera w środkowej strefie, brak kolektywu.

ocena poziomu organizacji turnieju

Pomysł rozgrywania meczów na boiskach całej Europy był efektem pandemii COVID. Przypomnę, iż w ubiegłym roku zagrożenie było tak duże że organizacja turnieju nie była możliwa. UEFA wprowadziła w życie pomysł rozgrywania zawodów na 11 stadionach europejskich co zagwarantować miało mniejszą mobilność kibiców oraz brak ewentualnego jednego ogniska zakażeń. Czy była to decyzja słuszna czy nie, trudno powiedzieć. Oczywiście znajdą się argumenty za i przeciw. Na minus możemy zaliczyć podróże zawodników poszczególnych reprezentacji, którzy musieli zrezygnować z odpoczynku na rzecz ciągłych podróży. No i jeszcze Baku. Trudno zrozumieć decyzję o konieczności rozgrywania zawodów w takich warunkach atmosferycznych, dlatego łączę się w bólu i olbrzymim podziwieniu dla drużyn które musiały właśnie tam rozgrywać swoje mecze.

ocena sędziowania

Sędziowanie na Euro 2020 można uznać za kontrowersyjne. Niezrozumiała postawa sędziego z Hiszpanii (patrz powyżej) czy zawody prowadzone przez Felixa Brycha w meczu Belgia – Portugalia. Niemiecki sędzia w pewnym momencie utracił kontrolę nad spotkaniem. Wszyscy czuliśmy olbrzymi niesmak po krzywdzącej decyzji holenderskiego sędziego Danny Makkellie w meczu Anglia- Dania, który wypaczył wynik meczu półfinałowego dyktując rzutu karny z „kapelusza”. Pozytywnym natomiast była próba wypracowania konsensusu pomiędzy wykorzystaniem systemu VAR a jego zasadnością.